

LITERACKA DEKADA

Literacka

Czesław Miłosz: Uzupełnienie do wiersza ■ Listy Kazimierza Wyki do Czesława Miłosza (dokończenie) ■ O uczciwości autorów i wydawców ■ Proza Barbary Czałczyńskiej i Doroty Kucharek ■ Wiersze Doroty Koman ■ Felieton Marty Wyki



Sir John Everett Millais *Ofelia*, 1852, Tate Gallery, olej na płótnie

Marta Fik

Portret inteligenta

Andrzej Dobosz zaistniał w mej pamięci najpierw jako postać. Dostrzegało się go i zapamiętywało od razu, mimo że nie brylował towarzysko — przynajmniej w potocznym sensie słowa — odzywał się cicho i mało, a jego posturę trudno nazwać imponującą. Dla nas — młodszego odcień o dwa lata (co znaczyło wówczas wiele) rocznika polonistów, stał się przede wszystkim niezbywalnym elementem uniwersyteckiego i przyuniwersyteckiego pejzażu. Bardzo „osobnym”, chociaż przez pewien czas wydawał się nam — jak najnieśluszniej — odmlodżonym i pomniejszonym odbiciem Jana Kotta, którego i on i my byliśmy uczniami. Żadna z jego pisanych wkrótce teatralnych recenzji nie wywarła, jak mi się zdaje, większego wrażenia. Nic dziwnego: konkurencja w tej dziedzinie w pierwszych „odwilżowych” latach była duża — prym bez wątpienia wodził właśnie Kott. Jako autor zabłysnął jednak Dobosz szybko. Ogłoszona we wrześniu '56 *Szkola życia* przynosiła świetny opis wojska; nie tak okrutny jakim czynią go dziś różne *Krolle*, ale za to inteligentny, finezyjny, odwołujący się do konkretności, a zarazem metaforyczny. Szło tu o konkretne wojskowe absurdy, które wszakże skupiały jak w soczewce absurd całej rzeczywistości. Podobnie jak — w zrodzonym zarówno z Gombrowiczowskiej *Ferdynand*, jak i całkiem nieliterackiej reporterskiej ciekawości — felietonie o szkole, do której — dzięki podstępowi — udało się dwudziestodwuletniemu Doboszowi wkraść w roli ucznia.

Jest rzeczą znamioną, że w zasadzie żaden z późniejszych świetnych tekstów Dobosza nie wywołał podobnego rezonansu, choć przez cały czas miał on swych wiernych admiratorów. Szerszą popularność zdobyła mu raczej rola w — niemiłosiernie przez cenzurę okrojonym — *Rejsie*, rola szczególnie, bo polegająca — jak tego żądał reżyser — na „zagraniu samego siebie”. Co Dobosz wykonał doskonale zapewne dlatego, że była to rola nie tylko dlań najwłaściwsza, ale chyba i jedyna, której mógł podolać tak bezbłędnie.

„Zagrać samych siebie” mieli, jak wiadomo, w *Rejsie* wszyscy: zarówno zawodowi aktorzy, jak amatorzy. Ale niezależnie od nader owocnego efektu tego eksperymentu, jego ideę tak naprawdę zrealizowali do końca tylko Dobosz i Himilbsbach. A może nawet tylko Dobosz. Bo on jedynie zastosował się do wskazania dosłownie: Nie b y ł sobą, lecz g r a ł siebie.

Co być może w tym akurat wypadku znaczyło dokładnie to samo. Bowiem Dobosz „grał siebie” również w życiu. Wydany właśnie przez „Puls” tom jego tekstów z lat 1956—1990 *Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia* ukazuje to dowodnie także tym, co Dobosza nigdy nie widzieli na oczy.

Zarazem jednak dowodzi rzeczy istotniejszej. Przekonuje bowiem, że „granie siebie”, dbałość o doskonałość samokreacji, wszystkie związane z tym śmieszności, dziwactwa i snobizmy wcale nie muszą wykluczać autentyczności. Wręcz odwrotnie: mogą często służyć jej obronie. A także obronie wielu wartości, w imię których niekiedy trzeba trafiać do więzienia, ale którym wcale nie jest łatwo dochować wierności na co dzień.

I również z tego powodu — a nie tylko ze względu na literackie i intelektualne walory — *Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia* jest książką tak dużej wagi. Szczególnie obecnie. Można ją czytać na różnorakie sposoby; tak jak czyta się „pisma wybrane”. Na wrywki, od środka, od końca, a także solennie — od początku i po kolei. Trudno tę ostatnią metodę zalecać wszystkim czytelnikom. Czytelnikom nie powieści wszak ani rozprawy, lecz złączonych w całość felietonów, anegdot i esejów.

Ale zdaje się, że właśnie taka lektura jest w tym przypadku najwłaściwsza. Bowiem mimo iż — dłuższe i krótsze — teksty Dobosza mają, co oczywiste, wartość samoistną, to ogromna ich większość swój pełny sens objawia dopiero w ścisłym

Krzysztof Lisowski

List drugi; śniony

widziałem czysty płomień
palono pudła po sukniach
pod uschłym drzewem na skraju ulicy
z tego ognia wstawała kobieta
budziła się z trudem w pięknej rozpacz
rozczesywała włosy w pięknej rozpacz
smakowała metal długiej szpilki
z zamkniętymi oczami
wiązała karminową wstążkę
tak smutna że prawie pogodna
poskramiła cierpliwie swoją nagość
zapinała szczelnie bawełnę i jedwab
(na chwilę jej dusza odziała się od
ciała
jak Ofelia płynie tuż pod powierzchnią
duńskiego strumyka
uspokojona podziwiana przez ważki
i świerszcze
pochylają się nad nią zioła
mysikrólik kotłuje się na nitce sitowia)
a wtedy odezwały się
telefon lustro budzik pamięć przeszłej
nocy:

podobała się sobie
feminizm nie był dla niej
dobrym rozwiązaniem

CO NOWEGO W PRASIE

Najbardziej związała syntezę wszystkich rozważań na temat zmniejszania się roli literatury i degradacji czytelnictwa, a zarazem niezwykle trafną i okrutnie szczerą diagnozę przyczyn tego zjawiska sformułował prof. Janusz Tazbir, historyk i znakomity popularyzator historii, pisząc: *Wiele wskazuje na to, iż ostatnich pięćset lat dziejów ludzkości stanowiło jedynie stosunkowo krótką przerwę w systemie przekazywania informacji. Zarówno starożytność jak i średniowiecze opierały go przede wszystkim na słowie mówionym oraz obrazie (...). W ten sam sposób była przekazywana wiedza o przeszłości; dopiero wynalazek druku pozwolił na jej upowszechnianie poprzez książkę czy broszurę. Obecnie przede wszystkim dzięki telewizji, wracamy do stanu sprzed pięciu wieków* — (artykuł *Nerwica historyczna*, „POLITYKA” nr 5).

Nawet po uwzględnieniu efektu hiperboli to spostrzeżenie poraża swą prawdą. Powrót do stanu „ante Gutenbergum natum” nie oznacza oczywiście wtórnego analfabetyzmu w globalnej skali (choć i takie obawy już słycać), ani likwidacji książki i literatury. Nie oznacza też bynajmniej zagłady twórczości „wysokiego lotu”, która istnieć będzie — choć może w wymiarach śladowych — obok wszechobecnej, powszechnie dostępnej kultury popularnej, operującej właśnie „słowem mówionym” (a raczej śpiewanym) i „obrazem” czyli fonią i wizją. Nie ludźmy się bowiem: ani to słowo w niczym nie będzie przypominać Homera lub średniowiecznych misteriów, ani obraz — biblij pauperum i witraży gotyckich katedr, chociaż właśnie te dzieła w swoim czasie służyły masowemu odbiorcy. Elita miała wtedy dla siebie iluminację w bezcennych rękopisach. Elity przyszłości też będą mogły cieszyć się książkami — tańszymi wprawdzie od rękopisów, lecz podobnie rzadkimi dziełami literatury „wysokiego lotu”. Nadchodzi kultura mandarynów.

Do podobnych wniosków doszło sześciu młodych (24—33 lata) krytyków: Paweł Dunin-Wąsowicz, Jarosław Klejnocki, Radosław Okulicz-Kozaryn, Dariusz Pawelec, Marcin Piasecki i Paweł Rodak, dyskutujących w tym samym numerze o młodej literaturze polskiej. Jest to częściowo replika na dyskusję grona wybitnych krytyków starszego i średniego pokolenia, którzy w styczniu na łamach „Gazety Wyborczej” omawiali — w minorowym tonie — ubiegły rok literacki. „Młodzi” dobitnie wyrażają pokoleniową różnicę optyki, upominają się o uznanie dla najmłodszych poetów i prozaików, których „starsi” zlekceważyli (np. dla Nataszy Goerke, Manuelli Gretkowskiej, Jana Kaspra, Marzanny Kielar, Krzysztofa Koehlera, Zyty Rudzkiej, Tadeusza Siejaka, Marcina Świetlickiego) oraz wieszczą, że *proza Konwiewskiego, Szczypiorskiego, K. Brandysa, Jacka Bocheńskiego nie wytrzyma próby czasu (...)* nasz Parnas runie sobie sam, a nie za sprawą debiutujących w tym momencie pisarzy.

Wróćmy jednak do ponadpokoleniowej zbieżności prognoz na temat przyszłości literatury. Opinie młodych krytyków są w tym względzie niezwykle podobne do poglądów prof. Tazbira. Mówi D. Pawelec: *Trzeba pogodzić się z gorzką prawdą o końcu epoki masowego odbioru literatury. Nierealne jest również marzenie, aby książki, teksty uznane przez nas za wartościowe trafiły do masowego czytelnika. Tragedii bym z tego jednak nie robił — nawet nakład dwudziestu (sic!, J. L.) egzemplarzy w przypadku pozycji naprawdę ważnej wystarczy, by znalazła ona uznanie i bez masowego czytelnika.*

A więc — wizja kultury mandarynów. Dla pokoleń ludzi wychowywanych w tradycjach „książek pod strzechy” jest to wizja tragiczna. Przekreśla bowiem ideały i cele, w które polska inteligencja autentycznie wierzyła i które starała się realizować.

Może jednak sytuacja finansowa kultury w Polsce nie jest tak zła, skoro ciągle ukazują się nowe czasopisma. Ostatnio redakcja „DEKADY” otrzymała pierwszy (zerowy) numer KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO, wydawanego przez Teatr Polski w Bydgoszczy. Sponsorem przedsięwzięcia jest tamtejszy Urząd Wojewódzki Kultury i Sztuki. Nowe pismo redaguje kolegium w składzie: Ryszard Częstochowski, Robert Mielhorski, Krystyna Starczak-Kozłowska (red. nac.) a współpracownikami są m.in. Grzegorz Musiał i Krzysztof Myszowski.

Kwartalnik obrał sobie za intelektualnych patronów nie tyle jakie nazwiska. Jako słowo wstępne Redakcja umieściła cytaty z Teilharda de Chardin, w którym czytamy: „Pomimo porażek i wbrew różnym spekulacjom żyjemy instynktowne przekonanie, że aby dochować wierności istnieniu, powinniśmy wiedzieć coraz więcej, a zatem szukać coraz usilniej, nie wiemy jeszcze dokładnie czego, co jednak prędzej czy później na pewno ukaże się tym, co zgłębią rzeczywistość do dna”. Kilka stron dalej napotykamy tłumaczenie (autorstwa Sławomira Studniarza) fragmentu książki Karla Jaspersa pt. „Way to wisdom”. Jak zadanie stawiane sobie przez Redakcję brzmią słowa niemieckiego filozofa o dążeniu do mądrości: „To przedsięwzięcie bezinteresowne, gdzie nie liczą się kwestie użyteczności czy szkodliwości, to zajęcie właściwe człowiekowi jako człowiekowi i i filozofia będzie zaspokajać to dążenie, jak długo żyją ludzie.” W jaki sposób „Kwartalnik Artystyczny” odpowiada na te intelektualne wyzwania można się dowiedzieć prześledziwszy jego zawartość.

Pismo otwiera blok twórczości oryginalnej. Swoje wiersze drukują m. in. debiutująca Olga Lubińska, Krzysztof Lisowski (utwory z tomu „99 haiku. Inne wiersze”) oraz Ryszard Częstochowski, którego wiersz „Krople” warto chyba cytować w całości:

w słońcu i deszczu
równocześnie
usiąść przy drodze nad rzeką
i zatopić ręce
we włosach
lub myślach
po łokcie tak pozostać.

Obok wierszy w „Kwartalniku” można znaleźć opowiadania Nataszy Goerke, Marka Kędzińskiego, Krzysztofa Derdowskiego, Michała Łukaszewicza i Andrzeja Stasiuka, którego oniryczna proza przypomina zresztą o względności podziału na poezję i prozę.

Uzupełnieniem tego bloku są tłumaczenia — wiersze Sylvii Plath (Olga Lubińska) oraz fragment „Stephan Hero” Joyce’a, który w przekładzie Grzegorza i Wojciecha Musiałów ma się ukazać nakładem Wydawnictwa „Pomorze”.

O literaturze piszą Krzysztof Myszowski i Robert Mielhorski. Ten pierwszy zajmuje się ostatnimi utworami Samuela Becketta, drugi snuje refleksje o twórczości Izaaka Babla (czy raczej o swoim

Nowe pismo artystyczne

zauroczeniu tą twórczością) oraz o samym fenomenie pisarstwa w ogóle, o precyzji języka i szczególnej wolności pisarza. Trzeba jednak przyznać, że rozważania te są dość pobieżne i nieco rozczarowują.

Z działem literackim łączy się też relacja Grzegorza Musiała o pobycie Allena Ginsberga w Bydgoszczy i Łodzi. W tym ostatnim mieście autor „Skowytu” przebywał jako uczestnik spotkań artystycznych „Construction in Process”. Na relacji Musiała dość mocno zaciążyło przeciwstawienie specyfiki polskiej rzeczywistości i reprezentowanego przez Ginsberga, systemu wartości — „candor” czyli „uczciwość, otwartość, szczerokość”.

W „Kwartalniku Artystycznym” można odnaleźć też rozmowę z Agnieszką Holland, poświęconą miejscu człowieka w historii, tożsamości europejskiej oraz sytuacji kultury w Polsce.

Drugi dział to materiały związane z plastyką i teatrem. Pierwszy numer „Kwartalnika” obszernie prezentuje rzeźbę, mieszkającego w Bydgoszczy, Michała Kubiaka. Fotografiami rzeczywiście wspaniałych dzieł bydgoskiego rzeźbiarza, towarzyszy omówienie jego twórczości pióra Piotra Siemaszko.

Niejako pogranicze plastyki i teatru jest tematem artykułu Krystyny Starczak-Kozłowskiej, która pisze o sztuce „Biały jeleń” Stasysa Eidrigeviciusa. Ta sama autorka omawia najnowsze inscenizacje sztuk Czechowa. Uzupełnieniem tematyki teatralnej jest kilka artykułów, poświęconych działalności Teatru Polskiego w Bydgoszczy.

Dopełnieniem zawartości „Kwartalnika” są teksty poświęcone, najogólniej rzecz ujmując, międzyludzkiej nienawiści i, przeciwstawianej jej, tolerancji. Wśród nich znajdujemy, tłumaczony z chorwackiego, wiersz Enes Kisevic, wspomnienia Darko Lukić’a, — dyrektora Teatru Narodowego w Sarajewie oraz rozmowę z ojcem Anastazym Dembowskim, polskim kapłanem obrządku bizantyjsko-słowiańskiego.

Podsumowując, można określić „Kwartalnik Artystyczny” jako pismo interesujące i utrzymane na dość przyzwoitym poziomie intelektualnym. Jego dodatkową zaletą jest wspaniała szata graficzna — kredowy papier, kolorowe fotografie.

Andrzej Franaszek

Z pewnym opóźnieniem dotarł do naszej redakcji nowy numer kwartalnika literacko-artystycznego „Już Jest Jutro”, ukazującego się w Poznaniu. Przeważa tu poezja — polska i amerykańska (Anna Sexton w przekładach Zb. Joachimiaka i Walt Whitman tłumaczony przez niestrudzonego A. Szubę). Znajdziemy tu również szkic Marty Fox o poezji Sexton, trochę prozy, sporo materiałów krytycznych, recenzji z tomów poetyckich.

(kl)

DAĆ ŚWIADECTWO

Śródmiejski Ośrodek Kultury w Krakowie ogłasza II Ogólnopolski Konkurs poetycki „Dać świadectwo”. Złożeniem konkursu jest ukazanie w poetyckiej formie czasu w jakim żyjemy.

Konkurs jest otwarty dla wszystkich twórców — zarówno zrzeszonych, jak i nie zrzeszonych w związkach twórczych. Zestawy prac w ilości 5—10 utworów w 3 egz. maszynopisu opatrzone godłem prosimy nadsyłać na adres Śródmiejskiego Ośrodka Kultury, 31-027 Kraków ul. Mikołajska 2 (tel. 221955, 220814). Do zestawu opatrzonego godłem powinna być dołączona koperta zawierająca imię i nazwisko autora oraz jego dokładny adres.

Główną nagrodą w konkursie jest wydanie laureatowi I nagrody, tomiku poetyckiego w roku 1994. Laureat materiały do tomiku zobowiązany jest złożyć u Organizatora do 15 IX 94 r. Oprócz tego przewiduje się nagrody i wyróżnienia. Zestawy konkursowe należy nadsyłać do dnia 30 IV 1994. Rozstrzygnięcie Konkursu przewidziane jest podczas trwania „Dni Krakowa” w czerwcu 1994 r.

23 lutego 1994 zmarł w Warszawie w wieku 81 lat

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

wybitny poeta, krytyk literacki i tłumacz.

Obdarzony niezwykłym talentem kreacyjnym jako poeta, świetnym, przenikliwym sądem jako krytyk, był Zbigniew Bieńkowski czynnym uczestnikiem i inspiratorem życia literackiego do ostatnich swoich dni. Jego odejście jest dla kultury niepowetowaną stratą.

NASZ CZAS

II Ogólnopolski Konkurs
na debiutancki tomik poetycki

Udział w konkursie mogą wziąć autorzy, którzy do chwili rozstrzygnięcia konkursu nie opublikowali własnej książki poetyckiej, zarówno członkowie związków i stowarzyszeń, jak i autorzy niezrzeszeni. Na konkurs należy nadsyłać nie ogłoszone drukiem zestawy wierszy bądź poematy o objętości ok. 700 wersów — w trzech egzemplarzach maszynopisu.

Utwory konkursowe powinny być opatrzone godłem powtórzonym na zaklejonej kopercie zawierającej kartkę z imieniem, nazwiskiem, adresem oraz krótką notatkę biograficzną autora. Prace konkursowe oceni jury powołane przez organizatorów.

Nagrodą Główną konkursu jest wydanie w formie książkowej zestawu wierszy bądź poematu uznanego przez jurorów za najlepszy spośród nadesłanych. O ilości przyznanych nagród zadecyduje jury. Prace konkursowe należy nadsyłać do 30 kwietnia 1994 r. na adres: Wojewódzki Dom Kultury, 87-100 Toruń, ul. Szpitalna 8, z dopiskiem na kopercie „Konkurs na debiut poetycki”.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do 15 czerwca 1994 r. Książka poetycka zostanie wydana do października 1994 r. Również w październiku 1994 r. odbędzie się w Toruniu wieczór promocyjny tomiku połączony z turniejem jednego wiersza.

Niezwykła zdarzyła mi się przygoda. Przeczytałem, któryś to raz, *Nad Niemnem*. O Orzeszkowej myślę zawsze z miłością i szacunkiem, jest ona dla mnie przykładem pisarza w służbie dobra. Na pewno wiedziała więcej o mrocznych stronach ludzkiej egzystencji, ale wolała, ze względów, które uważała za wyższe, tej swojej wiedzy nie ujawniać. Jak również rzadko dawała poznać swoje gruntowne wykształcenie, samo-zdobyte dzięki rozległym lekturom. Opisywała ludzi swojej grodzieńszczyzny, drobną szlachtę, Żydów, chłopów, z życzliwością osoby, która ceni tradycję i tradycyjne proste cnoty.

Czytając *Nad Niemnem* zakochałem się trochę w Justynie. Kiedy patrzyła w lustro, byłem tam z nią i zdawało mi się, że mogłaby w lustrze zobaczyć mój wzrok *voyeura*. Myślałem o niej i z tego myślenia ułożył się wiersz, by tak rzec, polonistyczny, „Rozbieranie Justyny”. Akcja powieści, umieszczona w dziewiętnastym wieku, mnie nie wystarczała, wyobraźnia podsunęła dalsze losy bohaterki. Bo przecie na mieszkańców szlacheckiej Okolicy Bohatyrowicze czekała historia, pierwsza wojna światowa, niepodległa Polska — ale też to wszystko, ta otchłań, która otworzyła się w 1939 r., wraz z nadejściem Sowietów. A dla mnie nie jest to historia znana tylko z podręczników, to dotychczas mnie dręczyłymi współczuciami. Obliczyłem daty. Justyna w roku 1939 byłaby bardzo starą kobietą, ale aresztowanie jej i wywózka na wschód nie wykraczałyby poza granice prawdopodobieństwa.

Przyznaję, nie wiedziałem, że Orzeszkowa Bohatyrowicz nie wynalazła, że i Bohatyrowicze nad Niemnem i legenda ich założenia przez parę zbiegów — dziewczynę z królewskiego rodu i mężczyznę niższego od niej stanem — że ta legenda jest rzeczywistym przekazem z pokolenia na pokolenie i że istnieje (dotychczas!) grób Jana i Cecylii. Jak też, że opisując miłość Justyny, panny z dworu i Janka, zakończoną małżeństwem, autorka niczego nie wymyśliła, wiernie odtwarzając wydarzenia i osoby. Dowiedziałem się o tym z artykułu krakowianki, p. Teresy Siedlarowej, pt. „W Bohatyrowiczach nad Niemnem”, który ogłosiła w nowojorskim „Nowym Dzienniku”. Co więcej, dowiedziałem się, że mój niepokój o los Justyny po 1939 r. był uzasadniony.

Pani Siedlarowa usłyszała opowieść z ust nestora rodu, Stanisława Bohatyrowicza mieszkającego nadal w jednym z niewielu ocalałych domów tej wsi. Wszystko tak jak u Orzeszkowej, również mogiła powstańców w lesie: „My tam dawniej często rzeką płynęliśmy. Teraz jestem stary i już tam nie chodzę, ale wiem od ludzi, że ksiądz Lucjan Radomski z Lunnej (tam jest nasza parafia) z pomocą parafian tę mogiłę oporządził i podobnie ładnie tam teraz. Są ślady naszej o nich pamięci. O tych, co tam pochowani zostali w 1863. Dużo ich było i nasi bohatyrowiccy chłopcy tam leżą”. Dwór w rzeczywistości nazywał się Miniewiczze, zostały z niego ruiny. „To ten dwór, który w powieści był Korczyńskich? — zapytuje dziennikarka. — Ten sam, tylko pani Orzeszkowa nazwiska zmieniła. Reszta wszystko to samo. Ta Kamieńskiego córka, ona już troszeczkę starszą panną była i w jednym chłopcu z Bohatyrowicz zakochała się, a on w niej (to w powieści Janek i Justyna). Dla porządku muszę dodać, że on nie nazywał się Bohatyrowicz, choć z nas się rodził, ale to jego matka była Bohatyrowiczówna, a wyszła za Strzałkowskiego. Więc znów pani Orzeszkowa tylko nazwisko zmieniła. Ten «Janek», pamiętam, bardzo przystojny chłopak był, z panną Kamieńską ze dworu ożenił się. Potem stary Kamieński umarł i «Janek» stał się dziedzicem na tym majątku. Mieli oni dwoje dzieci: córkę i syna. Zofia postąpiła do klasztoru, może jeszcze i żyje? Przyjeżdżała dawniej do nas, nawet i po wojnie. A syn Kazimierz został tu, gospodarował na majątku, a przedtem uczył się w Warszawie i stamtąd wziął sobie żonę”.

Dowiaduję się, że «Janek» i Justyna nie mieszkali we dworze, ale „bliziutko”: „Ten Strzałkowski, co Kamieńską wziął sobie za żonę, to on dom własny wybudował między Okolicą i dworem. Dom do dziś istnieje, ale zniszczony bardzo. (...) I w 1939 roku, jak tu do nas wojska sowieckie przysły, jak już nasza Polska ginęła, to właściciele ziemskich z okolicy, a wraz z nimi Kazimierza i jego starego ojca (tego co w powieści Jankiem był), zabrali i w Kwasówce, wiosce niedalekiej, rozstrzelali. Potem jak przyszli w nasze strony Niemcy, to pani Justyna potajemnie wykopała te ich ostatnie szczątki i na naszym cmentarzu w Lunnej pochowała”.

Więc jednak może jakieś szczególne prądy przepływają między literackim dziełem, czytelnikiem i życiem pośmiertnym jego bohaterów, jeżeli ten wiersz został mi podyktowany? Tak dawno, przecie *Nad Niemnem* ukazało się w 1888 roku, takie przetoczyły się nad ziemią kataklizmy, a trwa ciągle tamta rzeczywistość, w wieści, w podaniu, w poprawkach do mitu. Justyna nie była naprawdę ubogą krewną, ale córką właściciela dworu, Kamieńskiego, zwanego w powieści Korczyńskim, który miał za sobą wiele lat zesłania na Sybir. I pani Orzeszkowa jest wspomniana jak znajoma: „Choć ja już jej nie pamiętam, ale ojciec opowiadał, że ona tu bywała na letnisku i przesiadywała sobie w parku na ławeczce, a często i do nas do Okolicy zachodziła. Tu u nas był taki Adam Lewkowicz — stary kawaler (to nawet mój ojciec chrzestny). On tak lubił „ugrzedniać” koło kobiety młodej czy koło panny, lubił pośpiewać, porozmawiać. To on właśnie do pani Orzeszkowej chodził, a ona podobno nawet go lubiła. I nas lubiła, Bohatyrowiczów, i dokładnie nas i naszą okolicę opisała”.

A Teresa Bohatyrowicz opowiada jak to jej dziadkowi pani Eliza znalazła żonę w sąsiedniej szlacheckiej Okolicy. „Więc ta śliczna Marysia Obuchowiczówna w *Nad Niemnem* to moja babcia. Wyszła za Adama i jak narodził się syn, to pani Orzeszkowa i jej mąż Nahorski trzymali go do chrztu. Pomogli go wykształcić. Potem zginął w Katyniu”.

Chyba niemożliwy jest komentarz, bo jak dotychczas nie wynaleziono języka wspólnego dla żywych i umarłych.

Czesław Miłosz Uzupełnienie do wiersza



Collage: Aleksander Pieniek (Eliza Orzeszkowa, drzeworyt Bronisława Puca, ok. 1884 r.)

Nabici w wydawcę

Stanisław Stabro

O ile się orientuję, problem, który postanowiłem poruszyć stanowi obecnie rodzaj środowiskowego „tabu”. Mam zatem świadomość, że obraz sytuacji, jaki się tutaj pojawi wzburzy niejednego czytelnika i skłoni być może do polemiki. Tymczasem kwestia nowego usytuowania autora na rynku literackim rodząca się w Polsce kapitalizmu wymaga zasadniczej dyskusji, chociażby miała ona dotyczyć zagadnień będących w innych krajach Europy banalną codziennością. Tym bardziej że te z pozoru przyziemne kwestie dotyczą także zmieniającego się na naszych oczach modelu komunikacji literackiej projektującego dla współczesnego twórcy klasyczną rolę „wytwórcy”, jak pisał o tym niegdyś Walter Benjamin, nadając temu pojęciu aspekt pozytywny. Sęk w tym, że dzisiaj, w warunkach rodzimych twórca przestaje być „wytwórcą”, stając się coraz częściej producentem niechcianych przez dawną publiczność literacką dóbr. Z pełną zatem świadomością nowych uwarunkowań roli pisarza, bez pretensji do tzw. „rzeczywistości” (choć z drugiej strony, dlaczego by nie?) warto wydobyć na światło dzienne niektóre przynajmniej, wstydlive i poniżające aspekty dzisiejszej egzystencji różnorodnych odmian naszego *homme de lettre*.

Na początek parę konkretnych przykładów z ostatniego okresu, które posłużą za pretekst do sformułowania bardziej generalnych wniosków. Przytoczone zostaną tu w charakterze „donosów”, lecz jako ilustracja owej dramatycznej sytuacji, w jakiej znalazła się obecnie część środowiska pisarskiego i naukowego, co pragnę mocno podkreślić, gdyż procesy degradacji objęły dzisiaj nie tylko autorów tomików poetyckich i grubych powieści. Przykład pierwszy. Jedno z krakowskich wydawnictw, specjalizujące się zresztą w wydawaniu literatury parareligijnej, wypuszcza na rynek monografię twórczości Anny Kamieńskiej. Autorka monografii nie dostaje ani grosza honorarium tylko z tego tytułu, że wydawnictwo to przejęło grant przeznaczony na wydanie jej książki z innej firmy wydawniczej. Autorce ma wystarczyć dozgonna wdzięczność wobec firmy. Przykład drugi. W księgarniach pojawia się, ni z gruszki, ni z pietruszki, wybór najlepszych „opowiadań taternickich”. Oздobą tomu jest proza samego Jana Józefa Szczepańskiego i innych klasyków gatunku. Jest to jednakże klasyczne wydanie pirackie. Z autorami nikt nie rozmawiał na temat przedruku, nie zawierał umowy wydawniczej. „Na otarcie lez” otrzymują po dziesięć egzemplarzy książki wartej w księgarniach kilkadziesiąt tysięcy złotych. Próby zorientowania się w jakim nakładzie wyszła książka, czy autorzy dostaną jakiegokolwiek pieniędzy, spotykają się z mglistymi wyjaśnieniami i obietnicami edytorów. Wszak autorzy winni czuć wdzięczność. Podobnie (przykład trzeci) jak i niektórzy autorzy prywatnej, małej firmy wydawniczej, gdzie rzuca się im, dosłownie pod nogi, na przykład dwieście sztuk tomiku poetyckiego jako jedyne honorarium i dodaje gratis arogancję szefa, uważającego się prawdopodobnie za samego Gallimarda. I przykład czwarty, najbardziej symptomatyczny, świadczący o brutalnych metodach szanowanych skądinąd firm. I tak, jedna z najlepszych kiedyś oficyna z Chotomowa pod Warszawą wydaje w 1992 roku monografię twórczości Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Umowa w tym wypadku zostaje zawarta, sposób płatności sprecyzowany, autor nie musi na własną rękę szukać dofinansowania. Wydawałoby się: idylla! Jednakże mimo wielokrotnych monitów i prób do wydawcy dotyczących ostatecznego rozliczenia książki (wysokości nakładu, ilości sprzedanych egzemplarzy, kwoty należnego honorarium) autor nie otrzymał do dnia dzisiejszego żadnej konkretnej odpowiedzi. Zamiast tego w początkach maja 1993 roku dostał pismo, że wydawnictwo podzieliło się na dotychczasowe, nazwijmy je „A” sp. z o.o. i nowe „B” sc., a dotychczasowy udziałowiec i zarazem prezes spółki „A”, która wydała książkę, sprzedał udziały w firmie i rozliczenia z autorami nic go już nie obchodzi. Przejmuje je bowiem spółka „B”. Z tejże firmy, po interwencji autora monografii we wrześniu 1993 roku, pojawiła się odpowiedź, którą dla

lepszego uwiarygodnienia moich oskarżeń przytoczę tu w całości. Nad nieczytelnym podpisem i pod okazałą pieczęcią firmową czytamy:

„W nawiązaniu do pisma z dnia 3.09.1993 uprzejmie informuję Pana, że decyzją dyrektora drukarni (...) książka pt. *Chwila bez imienia* została nieodpłatnie przekazana Stowarzyszeniu „Pomoc szkole”. (...) Z wyrazami szacunku. Kierownik drukarni”.

I na tym koniec. Bez podania motywacji decyzji, bez poinformowania o ilości przekazanych egzemplarzy itd.

Nie zamierzam nudzić czytelnika kolejnymi przykładami tego typu, chociaż zebrałoby się ich w ostatnim okresie bardzo dużo. Oczywiście, oprócz tych negatywnych zjawisk, jest jakiś margines sytuacji będących przykładem rzetelności dobrze osadzonych już na rynku wydawców wobec autora, ale mój tekst jawnie interwencyjny nie takim przypadkiem ma być poświęcony, tylko opisowi patologii. Przytoczone powyżej przykłady są bowiem efektem tak modnego ostatnio nad Wisłą lesseferizmu, brutalnego, z ducha autentycznego kapitalizmu, i skierowanego przeciwko najsłabszym. W tym przypadku autorom dzieł artystycznych i naukowych, pozbawionych, jak dotąd, pomimo sejmowych manewrów skutecznej obrony prawa autorskiego, bo przecież kolejne parlamenty miały inne, ważniejsze kwestie na głowie niż losy sztuki, kultury i nauki. Krytykowane tu zjawiska są także praktyczną konsekwencją zataczającej coraz szersze kręgi społecznej pogardy wobec wszelkich wartości nie mieszczących się w komórkowym telefonie „młodego byznesmena”. Pisarz polski pada dzisiaj ofiarą tworzenia na siłę przez obecny układ polityczny polskiego odpowiedzialnika „middle class” także i kosztem twórców dzieł kultury. Pozostaje tu zresztą w dobrym towarzystwie nauczyciela, lekarza itd. W opisanych powyżej praktykach celują z reguły (oczywiście nie wszystkie) firmy małe, nowe, kierujące się zasadą wykorzystywania luk prawnych w celu maksymalizacji swoich zysków.

W tym właśnie kontekście należałoby poruszyć w następnej kolejności sprawę tzw. „grantów”, dofinansowań, fundacji, które miały zastąpić dawny, scentralizowany system dotowania kultury. Otóż wydaje mi się, że także i ten pomysł nie sprawdził i nie sprawdza się do końca. Wydawcy po uzyskaniu z różnych źródeł niejednokrotnie bardzo poważnych kwot (a starają się o zgromadzenie ich w swoim interesie jak największym) obracają nimi przez długie miesiące, osiągając w ten sposób dodatkowe zyski, zanim dotowaną pozycję wypuszczą na rynek. W takiej sytuacji pomiędzy autorem a wydawcą pojawia się autentyczny konflikt interesów. Ten pierwszy pragnie książki wydanej w jak największym nakładzie (to chyba naturalne!), obecnej w jak największej ilości księgarń. Ten drugi natomiast usiłuje, zaskaniając się danymi wziętymi z sufitu („książki, proszę Pana, nie idą”) wydać jak najmniej, jak najmniejszym kosztem, bo przecież wszelkie granty, dotacje to jego zysk. Chyba, że zwietrzy interes w wydaniu chodliwej pozycji. Ale i wtedy niechaj autor nie żywi nadmiernych złudzeń. Zawsze istnieje przecież możliwość cichego doдруku, odmowy rozliczeń z pisarzem bezsilnym na razie wobec cwaniactwa, wszak „powinien żywić wyłącznie wdzięczność”. Pomijam już kompletny brak profesjonalizmu tego typu wydawców (będących w wielu wypadkach przypadkowymi amatorami z przerostem ambicji i kompleksów), przejawiający się chociażby w nieumiejętnej dystrybucji książki. Cóż: „drukować każdy może!”. W rezultacie ograniczamy się do „zaprzyżnionych księgarń”, co praktycznie skazuje dzieło na funkcjonowanie wyłącznie w literackim i naukowym getcie, rezygnujemy z reklamy dzieła w sytuacji, kiedy książka stała się towarem. Prowadzi to do takich patologii, jak ta, kiedy książka wydana we Wrocławiu np. będzie nieobecna w Krakowie i Lublinie, wydana w Gdańsku nie zobaczy Warszawy, bo wydawca ma tam dwie „zaprzyżnione” i właśnie bankrutujące księgarskie kanciapy. Efektem także i tych okoliczności są nakłady książek

DOKONCZENIE NA STR. 11

O uczciwości

Justyna Zarzycka

Pracę uznaje się zwykle za skończoną, gdy czuje się, że zostało zrobione wszystko, co w danym momencie i na danym etapie rozwoju można było zrobić z tekstem; tak podchodził do owego zagadnienia choćby Goethe. Nie oznacza to, że wydanie książki równoznaczne jest z odfajkowaniem tematu, zamrożeniem wiedzy i przemysłów kryjących się za jego ujęciem. Nie ma kropki, która zamykałaby to, co umieszczono przed nią — w sensie: można spokojnie zająć się czymś innym, gdyż tutaj nic dodać ni ująć się nie da. Nabokov w gruncie rzeczy przez całe życie pisze jedną książkę-mozaikę, którą tworzą kolejne tomy wychodzące spod jego pióra.

Zdarza się, że nienasycony autor powraca do dzieła uznanego uprzednio za skończone i zaczyna się nad nim znęcać — z lepszym bądź gorszym wynikiem. Tu przykroi, tam wyciągnie, dopisze, skreśli, stworzy nowe płaszczyzny odniesień, skomplikuje, uprości... Niekiedy nawet rachityczna nowela przemieni się w powieść-rzekę. Zwykle zostanie ten sam tytuł, na ogół pojawi się wstęp czy posłowie, w którym uparty wyrobnik słowa przypomni, zastrzeże, wskaże to, co robił wcześniej, spróbuje ogarnąć przyczynę i istotę zmian, których dokonał; z czystym sumieniem zda czytelnikowi sprawę ze swych zmagania z oporną materią.

Bywa, że utwór wciąga autora, zdumiewając go formą i rozmiarami, które przybiera. Wańkiewicz najpierw napisał artykuł o reportażu, potem broszurę *Prosto od krowy*, by w końcu postawił przed odbiorcą *Karalkę La Fontaine'a* (o czym w rzeczonyj *Karalce* mówi bezpośrednio i bez cienia wahania na samym już początku).

I tu dochodzimy do punktu, w którym czas byłoby wyłożyć wątpliwości. Jeżeli twórca wraca nie tylko do tematu i spraw, nie tylko wykorzystuje zdobyte doświadczenia i poglądy, lecz słowa, frazy napisane kiedyś i przedstawione jako rzecz ukończona; jeśli wykorzystuje zdania, rozdziały istniejące w jego dorobku twórczym — do czego ma pełne prawo i spać może spokojnie, gdyż sam siebie o plagiat nie oskarży — czy nie powinien (on lub wydawca) zaznaczyć tego swoistego powrotu do źródeł?

W 1993 roku wierni czytelnicy Michała Komara mieli sposobność zastanowić się nad kupieniem nowej jego książki — *Prośba o dobrą śmierć* — wydanej przez „Czytelnika”. Pozycja niewielkich rozmiarów, lecz ładnie wydana, w twardej oprawie, szyta... I plus minus w pięćdziesięciu procentach będąca powtórzonym tekstem *Czarownicy i inni* opublikowanego przez Wydawnictwo Literackie w roku 1980. Powracając dawne sny i przemyślenia wciąż aktualne — tylko że nikt nie raczył tego zaznaczyć; ani autor, ani wydawca. Oczywiście, to pana Komara teksty, jego prawo, jego honoraria... a że brak skrupulatnych objaśnień? Odbiorca? Cóż, też odpowiada sam za siebie. Chce, to kupuje, nie chce, to nie kupuje, przymusu nie ma. Orgia wolności. A uczciwość? Nie dzielimy włosów na czworo. Nadmierna drobiazgowość nie przystoi wielkim. Dla małych — nie jest opłacalna. Od strony 42 do strony 149 *Prośby...* wdzięczą się *Czarownicy...* — czasami z poprawionym nieznacznie makijażem. Niekiedy artysta niedbale machnie pędzlem i obraz wzbogaca się o nowe barwne plamy — nowe zdania, akapity, całostki nawiązujące do czasów bliższych nam niż proce-

sy na wpół mitycznych czarownic. Same w sobie bardzo interesujące i cenne. Lecz nie o to akurat w tym momencie chodzi.

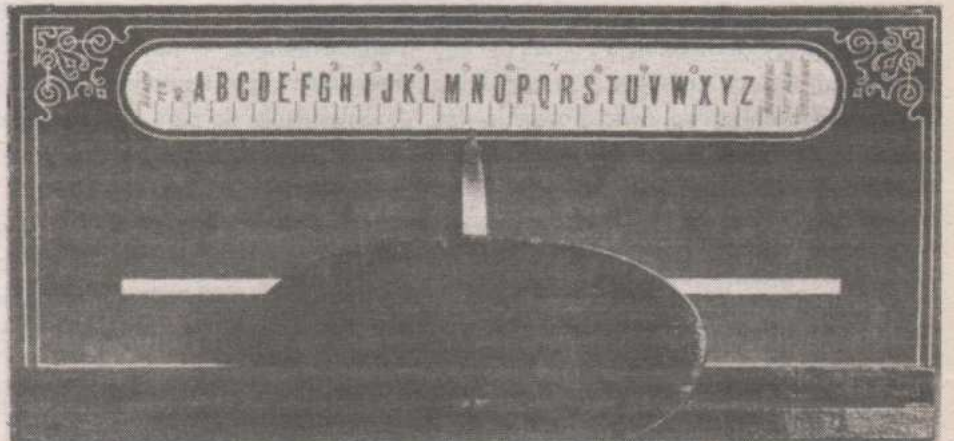
Wystarczy porównać śródtytuły (bo tytułów tam nie było) *Czarownic i innych* z tytułami *Prośby o dobrą śmierć*, aby przeżyć swoiste déjà vu. Niektóre pozostały niezmienione, jak *Lekcja pierwsza*, *Fragment o nadziei*, *Fragment o prawdzie*. Przy okazji innych przekonujemy się, że Michał Komar nie pisze, lecz wypowiada się „o” — np. zamiast *Dowody rozumne*, jasne: O dowodach rozumnych i jasnym; Sprawy techniczne: Lindheim, Salem, Loudun połączyły się z *...ludzie to aktorzy* dając w rezultacie wypowiedź *O sprawach technicznych* itd. W jednym wypadku dawny śródtytuł *Wróćmy do czarownic* wędruje na śmietnik, zastąpiony przez godne *O rozsądku...* Objawia się mędrzec, który o wszystkim ma coś do powiedzenia (to samo co przed laty), a wszystko nadaje się do tego, aby być przedmiotem wypowiedzi. Zresztą słabość do przyimka „o” sama w sobie naganną nie jest. Łatwo dostrzec, że kryje się za tym pewna metoda-założenie kompozycyjne. Szkoda jednak, że Michał Komar nie uznał za stosowne dołączyć do swego dzieła rozdziału „O uczciwości” — względem czytelnika na przykład!

Jeśli ktoś ma ochotę i czas, może wziąć do ręki obie książki i przeprowadzić wyczerpujące a szczegółowe porównanie tekstów — nie braknie do tego materiału. Nie wdając się w rozważania, na które nie ma tu miejsca, chciałabym zwrócić uwagę na parę spraw. Po pierwsze, zespół faktów ukazywanych odbiorcy uległ zmianie o tyle, że został wzbogacony o współczesne (głównie dotyczące lat pięćdziesiątych) odwołania, zdarzenia, przykłady. Proces w Salem, sprawa templariuszy, eksperyment psychologa Stanleya Milgrama itd. — wszystkie te kwestie zostały już przedstawione czytelnikowi w tych samych bądź niemal tych samych słowach. Po drugie — niektóre zdania, akapity zachowały „niepokalaną świeżość”. Po trzecie, przeredagowanie tekstu wydaje się niekiedy rezultatem subtelnej (ale jednak!) zmiany w podejściu do problemu („Zalóżmy, że prawdą człowieka jest jego ciało” zamiast „Prawdą człowieka jest jego ciało”), lecz czasem jest to kwestia kosmetyczna lub — jeśli ktoś woli — stylistyczna — inny szyk zdania, zmieniona interpunkcja (co nie znaczy, że poprzednia była błędna), słowa zastąpione wyrazami bliskoznacznymi (oczywiście w kontekście, na przykład, „znanwy przedmiot” zamiast „historycy”). Oto co rzucą się w oczy przy pobieżnym nawet porównywaniu tekstów.

Co z tego wynika? I o co właściwie chodzi?

Nie chciałabym być źle rozumiana. Bardzo cenię pisarstwo Michała Komara, jego wiedzę i błyskotliwy sposób jej przekazywania. Innymi słowy: należę do grona jego wiernych czytelników. Może właśnie dlatego zostałam nieprzyjemnie zaskoczona.

Wszystko, co zostało wyżej napisane, nie jest próbą pomniejszenia walorów *Prośby o dobrą śmierć*. Jest natomiast postawieniem pytania o stosunek autora do czytelnika i o powinności tego pierwszego względem drugiego. Czy ograniczają się tylko do napisania i sprzedania wydawcy danej książki na zasadzie: „Napisałem. Masz i ciesz się! Ciągłość dzieła i przenikanie się tekstów jest moją i wyłącznie moją sprawą”?





Marc Chagall *Trzy świece*, 1938—1940, 127,5 x 96,5 cm, olej na płótnie

Dorota Kucharek Rue Desespoir

Kiedy Claire wstała, czuła, jak cięży jej głowa po snach wypełnionych obrazami z płócien Marka Chagalla. Przetarła oczy i pobiegła szybko do lustra, bowiem od momentu przebudzenia miała wrażenie, że nie do końca wszystko jest takie, jakie było przed ostatnim zaciśnięciem powiek.

Cóż się mogło stać, co mogło ją zaskoczyć? Przecież od wielu dni miała poczucie, że już wszystko przeżyła, że cokolwiek ją spotka będzie echem tego, co kiedyś dane jej było doświadczyć. A jednak zdarzyło się coś, czego nie przewidziała w swym skrupulatnym rachowaniu rzeczywistości: po drugiej stronie lustra stał nieznaną osobę i choć lustro odbijało ją, było to pozorne — Claire widziała jego.

— Gdzie się podziało moje odbicie — zastanawiała się zdumiona — jak mam je odzyskać?

Ubrała się pośpiesznie, przypudrowała świecący się zawsze nos i wyszła na ulicę z preczuciem, że najbliższy czas rozwiąże tę kłopotliwą sprawę. Obiecała sobie solennie, że nie będzie przeglądać się w żadnych wystawach sklepowych — by nikt nie dojrzał w jej odbiciu osoby, która nie odpowiadała jej rzeczywistemu obrazowi.

Jednak nie tak łatwo znaleźć odbicie człowieka, którego zobaczyło się przez ułamek sekundy w lustrze — w dodatku tuż po przebudzeniu, zaspanymi i sennymi oczyma. Wszystko utrudniał fakt, że odbicie wypływało niejako z niej, i Claire nie mogła pozbyć się uczucia, że to, co dostrzega kątem oka w lustrze, jest tylko iluzją odbicia, i nigdy nie będzie miało nic wspólnego z rzeczywistością.

Dlatego właśnie długo i bezskutecznie błądziła ulicami, zaglądała nieznajomym w oczy, przypatrywała się przechodniom, niektórych pytała o godzinę czy jakąś nazwę ulicy — wszystko po to, by znaleźć człowieka, którego odbicie zapadło jej w serce, czy też może, którego iluzję tak cierpliwie pielęgnowała w sobie. Zależało jej, by go znaleźć, bo wydawało się, że kiedy nie będzie ich dzielić lustrzana płaszczyzna, dostrzeże w nim samą siebie.

Wreszcie do niego dotarła, zziębnięta i zmęczona dostrzegła rzeczywistą postać — stanęła naprzeciw niego, ale on nie dostrzegł w jej oczach niczego. Nie śnił mu się nigdy Mark Chagall (a zwłaszcza jego *Spacer* z 1917 roku, który tak często widywała w snach Claire), spał lekko i spokojnie, i nie poznawał w wystawach sklepowych odbicia dziewczyny, która teraz przed nim stała. Minął ją więc, nie rozumiejąc dlaczego uparcie zagradza mu drogę.

Kilka dni później Claire po odprawieniu ceremonii parzenia kawy w swym ulubionym serwisie wstała, podeszła do lustra i uderzyła w gładką, iluzoryczną płaszczyznę. Biła tak długo, aż pod naporem uderzeń lustro zaczęło pękać. I choć kosztowało ją to wiele bólu, łez, upuszczonych szklanek, mocnych pchnięć drzwiami w nagłym przypływie gniewu — powoli przyszło ukojenie, w którym jednak Claire nie odzyskała już nigdy spokoju, jakim cieszyła się wcześniej.

Tylko czasami — w błyszczące neonami wieczory — przychodziła na rue Desespoir do Muzeum Sztuki Współczesnej, by przyjrzeć się portretom kobiet malowanych przez Keesa van Dongena. Spośród wielu jego płócien najsilniejsze wrażenie wywierał na niej obraz z 1925 roku pt.: *Sphinx*. Na czarnym tle umieszczono fotel — siedząca na nim kobieta ma gładko zaczesane włosy związane z tyłu głowy w kok. Jest ubrana w wytworną suknię z głębokim dekoltem, ręce luźno zwisają oparte o poręczę fotela, jednak jej ciało nie wydaje się odprężone. Noga założona na nogę, lekko ściągnięte brwi. Kobieta wpatruje się w dzban burożółtych chryzantem, podtrzymywany przez wyraźnie męskie dłonie o długich palcach. Jej wzrok jest skupiony na kwiatach, a twarz — pociągła, blada i pozbawiona uśmiechu — wywołuje nastrój mrocznej tajemnicy.

Ta kobieta wpatrująca się w niebyt, z nieodgadnionym, niemal martwym wyrazem twarzy, o ciemnych oczach, zapadła Claire głęboko w pamięć, poruszyła odwieczną tęsknotę do nicości, i sprawiła, że zawsze gdy spogląda w swe popękane lustro lub gdy przyryka powieki — pojawia się postać z dziwnymi pierścieniami na palcach i wzrokiem obserwującym ostateczność.

Wspomnienie

Niedawno zmieniłem mieszkanie, i choć powinienem być zadowolony ze swego nowego lokum, trochę tęsknię do ulicy Królowej Jadwigi. Bo właśnie tam wynajmowałem pokój, właścicielką domu była Starsza Pani, która sprawiała wrażenie przestraszonej i nieobecnej. Była od kilku lat wdową, jednak często wychodziła z domu, potrafiła się wspaniale ubierać — doprawdy nie spotkałem do tej pory kobiety, która by nosiła się z taką gracją, mając taki багаż lat w swym sercu. Podobno ludzie dzielą się na tych, którzy zawsze się spieszą i są zawsze spóźnieni, i na tych, którzy chodzą powoli i są zawsze za wcześnie. Starsza Pani, która przyjęła mnie pod swój dach, żyła powoli, lecz jej czas nie był przesycony nudą czy martwym obserwowaniem obrazów przesuwających się przez ekran telewizyjny. Wstawała zazwyczaj przed południem, odprawiała ceremonię picia kawy — codziennie w innej filiżance, jadła lekkie śniadanie, po którym, gdy pogoda sprzyjała, wychodziła na drobne zakupy lub odetchnąć „starym światem” jak zwykła mawiać. Prawdopodobnie obiady jadała poza domem, bo rzadko widywałem, by sama coś gotowała.

Gdy wracała, następowała kolejna kawa — tym razem ze śmietanką i całą serwisową pompą. Często podglądałem jak bawi się układaniem dzbanka, cukierniczki, jak poprawia filiżankę, by wszystko stało w idealnym porządku i cieszyło oczy harmonią i wykwiem.

Podczas popołudniowej kawy zastawiałem ją z książką w ręku, lub zaśłuchaną w muzykę wydobywającą się z płyt. Dzisiaj, gdy prawie wszędzie panują odtwarzacze kompaktowe oddające idealnie czysty zapis cyfrowy — Starsza Pani nastawiała gramofon, na którym wykręcały swe 33 obroty na minutę tradycyjne czarne krążki. Muzyka była skażona czasem — częste trzaski wydobywające się z głośników wskazywały, które płyty były najbardziej przez nią lubiane.

Nie wiem, czy dużo czytała, ale robiła to codziennie i miała bogatą bibliotekę. Podejrzewam, że były w niej książki, które kupiła dawno temu, może nawet jako młoda dziewczyna — i dopiero teraz, po latach miała dla nich wystarczającą ilość czasu, którą chciała im poświęcić. Wieczorem oglądała telewizję, kładła się bardzo późno, często doczytując w łóżku popołudniową lekturę.

Nie była gadatliwa, mówiła mało, czasami sprawiała wrażenie milczącej, a nawet ponurej, nie pamiętam też, by kiedykolwiek mnie strofowała lub zwracała mi uwagę.

Trzymała swych lokatorów na dystans i nawet ze mną nie nawiązała bliższego kontaktu, ale niespodziewanie polubiła dziewczynę mego serca — bo moja wybranka — obecnie już żona — ma szczególny dar: bardzo łatwo nawiązuje kontakty z ludźmi, które z biegiem czasu mogą się przerodzić w głębokie więzi.

Tak też stało się w przypadku znajomości ze Starszą Panią. Któregoś dnia została zaproszona na popołudniową kawę, a potem już często gubiły się w rozmowach i zapominały o płynącym zawsze zbyt szybko czasie i otaczającej rzeczywistości. Nigdy nie rozmawiały o sobie, zazwyczaj komentowały nowości wydawnicze i filmowe.

Do tej pory nie wiem, czy Starsza Pani miała dzieci, często wydawało mi się, że była banalną matką i żoną, ale były takie chwile, gdy robiła jakiś ruch dłonią, czy gest — i byłem pewny, że nigdy nie zaznała trosk macierzyństwa. Rzadko opowiadała o swoim życiu, rzadko cokolwiek wspominała. Pamiętam tylko, że raz opowiedziała historię, która dotyczyła jej męża. Był od niej starszy o dobre kilka lat, pracował w jakiejś firmie, której był współwłaścicielem. Ona trochę mu w niej pomagała, ale często siedziała po prostu w domu.

Pewnego wieczoru mieli wyjść na imieniny do znajomych — jednak przed wyjściem nastąpiła mała sprzeczka, po której mąż poszedł na imieniny sam. Wrócił nad ranem, był zmęczony i milczący, nie dostrzegał jej zapłakanych oczu.

Po tych imieninach zaczął wracać późno z pracy, spóźnił się na obiady, sugerował, by nie przychodziła pomagać w firmie, w przedziwny sposób spontaniczna i naturalna, o czarnych, niemal granatowych włosach, wspaniale kontrastujących z jasną karnacją twarzy.

Z powodu tej kobiety mąż coraz bardziej się od niej oddalał i sprawiał tym ogromny ból. Kochała go i nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek może go stracić.

Z relacji Starszej Pani wynikało, że najwięcej cierpień przysporzył jej dzień, w którym w związku z rocznicą ich ślubu podarował jej w prezencie czerwoną torebkę. Wiedziała, że nie wybrał sam tego prezentu, że zrobiła to tamta kobieta. Miała dobry gust, ale nie przypuszczała, że Starsza Pani nigdy nie lubiła czerwonego koloru, torebka była piękna, ale następnego dnia została schowana głęboko, na samo dno szafy wraz ze spazmatycznie polykanymi łzami.

Być może odszedł by od niej, gdyby nie przypadek — kobieta, z którą rywalizowała o jego miłość uległa wypadkowi i po kilku miesiącach pobytu w szpitalu zmarła.

— Wiem, że mój mąż to bardzo przeżył — mówiła Starsza Pani — ale miałam szczęście, że umarła w czasie, gdy mąż nie był do końca zdecydowany na rozstanie. Rozdzieliła nas dopiero jego śmierć. Gdziekolwiek teraz jest, niepokoi mnie myśl, że on i ta kobieta, która musiała na niego tak długo czekać — są wreszcie razem, i nikt na mnie tam nie czeka. Mam takie wrażenie — ciągnęła dalej — jakby obok mojego świata było mnóstwo innych, a w jednym z nich ta para stworzyła sobie upragnioną, niczym już nie zagrożoną, przestrzeń.

Zawsze, gdy przypominam sobie tę rozmowę, nasuwa mi się wspomnienie oprawionego w solidne ramy zdjęcia — tkwiącego tuż nad biurkiem Starszej Pani.

Zostało zrobione wiele lat temu przez jej przyjaciółkę ze szkoły, która miała w przyszłości swym kunsztem chwytania ulotnych chwil w klatkę aparatu fotograficznego podbić świat.

Przedstawiało na wpół uchyloną bramę, ciężkie drewniane wrota z metalowymi okuciami w starym, zmurszałym murze.

W wąskiej szparze można było dostrzec pierń drzewa, zasłonięty w połowie przez zielony krzew, jednak ziemia była zasłana wyraźnie pożółkłymi liśćmi. Być może była to brama do ogrodu lub parku, Starsza Pani powiedziała o niej kiedyś, dość zagadkowo, że ta brama jest otwarta dla wszystkich, ale na pytanie dokąd prowadzi, każdy musi odpowiedzieć sobie sam.

Zawsze gdy wracam myślą do swego dawnego mieszkania, natrętnie nawiedza mnie obraz tej kobiety podnoszącej stare, zmęczone oczy znad biurka i spoglądającej na owo zdjęcie — domyślając się swojej przestrzeni, która nigdy nie była jej dana, a której wyobrażenie niesie ze sobą tak bardzo obcą życiu ciszę i upragniony spokój. Spokój, w którym roztacza się aromat kawy, pobrzękują srebrne łyżeczki, a pozornie monotonna melodia *Wariacji Goldbergowskich* Bacha, których Starsza Pani tak często słuchała, wprawia w stan zachwycającej harmonii z płynącą muzyką.

I ta harmonia nie ma kresu, kawa jest zawsze gorąca, kwiaty nie więdną, a *Wariacje* Bacha — nigdy nie milkną.

Dorota Kucharek

Barbara Czałczyńska

Rynek Główny rok 1945

Miasto ponure dotychczas i milczące ożyło. Na ulice, którymi przebiegano pospiesznie wypatrując jak deski ratunku najbliższej bramy wyroiło się pełno ludzi. Chodzili wolno i niespiesznie jakby smakując dawno nieznaną pocztę bezpieczeństwa. Przyglądali się miastu jakby je na nowo odzyskali. Nareszcie byli wolni. Tłum przed ratuszem przyglądał się niemieckim jeńcom. Było ich paru. Siedzieli patrząc tępo przed siebie, w zniszczonych mundurach, w butach bez sznurowadeł. W niczym nie przypominali groźnych „streif” stukających na pustych ulicach podkutymi butami, patrzących groźnie spod żelaznych hełmów i nasuwających na myśl krążących po wymarłym mieście jeźdźców Apokalipsy.

O ile tłum przyglądający się jeńcom był ponury i jakby zaskoczony niezwykłym widokiem, o tyle w drugim końcu Rynku pod Sukiennicami przepychali się ludzie płacząc i śmiejąc się na przemian. Na jakimś podwyższeniu stał żołnierz. W polskim mundurze. Rogatywce, na której jak gwiazda błyszczał polski orzełek. Wszyscy chcieli go dotknąć. Pomacać błyszczące buty z cholewami, przekonać się namacalnie czy jest prawdziwy. Podchodzili jak najbliżej, ale odepchnięci przez innych amatorów oglądnięcia dziwowiska odchodzili markotni z opuszczonymi głowami. Żołnierz purpurowy na twarzy bezradnie usiłował uwolnić się od tłumu i powtarzał w kółko:

— Nie lzia, nie lzia... Nie nada, nie nada...

— Może on z kresów — pocieszali się niektórzy.

W domu też panował zamęt. Stale ktoś wchodził, wychodził, pytał jak zdrowie, przynosił nowiny albo o nie pytał. Nikogo więc nie zdziwiło zachowanie dozorczyń, która wbiegła do mieszkania mruczając coś pod nosem, obleciała wszystkie pokoje zaglądając niespokojnie we wszystkie kąty i już przy drzwiach wyjściowych zagadnęła:

— A nie było tu mojego? — i nie czekając na odpowiedź wypaliła — wyszedł z domu z książką meldunkową, bo mu administratorka kazała czynsze zbierać i dotąd nie wrócił. Miotłę zostawił na podwórku. Na obiad nie przyszedł, ani na kolację — i już pochlipując dodała — i na noc też nie.

— Niech się Franciszkowa uspokoi — pocieszała ją babka — pewno spotkał jakiegoś kumpla i popijają.

— Gdzie! — wrzasnęła nagle dozorczyń — gdzie! Przez dwadzieścia lat jak tu jesteśmy jeszcze nigdzie nie poszedł poza dom z książką meldunkową. Chyba by mu się coś w głowie przekreśliło. Cały dom już obszukałam. Nigdzie go nie ma.

Po czym podszedłszy blisko do babki powiedziała zduszonym szeptem:

— Do tych na drugim piętrze jak zadzwoniłam, to nikt nie otworzył, tylko przez wizjer patrzyło na mnie takie straszne, nieruchome oko.

— Coś się Franciszkowej przywidziało — stwierdziła babka.

— Mnie się tam nic nie przywiduje — odpała Franciszkowa i wychodząc z całej siły trzasnęła drzwiami.

Franciszek pojawił się po paru dniach z nienaruszoną książką meldunkową, a zapytany gdzie się podziewał wznosił ręce ku górze, i przyłożył palec do ust. Po czym rozejrzawszy się podejrzliwie wkoło i powiedział szeptem jakby bał się, że go ktoś niepożądany usłyszy:

— Zabronili mówić.

Dodatkowo przejechał palcem po gardle i szybko uciekł. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że w kamienicy dzieje się coś dziwnego. Dopiero po wielu tygodniach „przeciekły” do nas z drugiego piętra wiadomości, że w tamtym mieszkaniu Urząd Bezpieczeństwa zrobił zasadzkę na jakiegoś partyzanta z Armii Krajowej.

Wbrew jednak wszelkim niepokojącym znakom optymizm nie wygasł. Pewność, że wojska rosyjskie zajmą Berlin wycofają się do swojego kraju, a na ich miejsce pojawi się armia polska z zachodu była niezachwiana. Już wszyscy mieli wizję tego, na co czekali przez pięć ciągnących się w nieskończoność lat okupacji: wkraczającą na ulice miasta armję. Własną. Polską. A z nią wszystkich tych, na których czekali. Mężów, braci, synów, krewnych, sąsiadów... Czekali na moment tej wielkiej nieopisannej radości. Na powitanie powracających i na oplakiwanie zmarłych. Cóż oznaczało przeczekanie jeszcze dwóch, trzech miesięcy!

Z trudem przedzierały się do świadomości złowieszco brzmiące nazwy: Jałta, Poczdam, linia Curzona...

Gdzieś z początkiem czerwca do salonu wpadła sąsiadka z góry i od drzwi zaczęła wołać:

— Są! Są!

Babka, która stała nad półotwartą szufladą biurka spytała:

— Kto jest?

— No Oni, Amerykanie! — zawołała zniecierpliwiona sąsiadka i podbiegła do okna.

Babka, która coraz częściej zatrzymywała się w połowie niedokończonej roboty i patrzyła w sobie tylko wiadome wizje, domknęła szufladę i podeszła też do okna. Było południe. Cały plac przed oknami był zalany słońcem i nieruchomy. Od Ratusza ku Sukiennicom powoli szło dwóch amerykańskich żołnierzy. Na rękawach ich mundurów dobrze były widoczne z daleka naszywki „US-Army”. Szli niedbale, spoglądali na stojące wokół Rynku kamienice i nie zwracali uwagi na nielicznych o tej porze gapiów. Wyglądali jak dwaj zwiastuni czegoś, czego nie dało się bliżej określić. Podeszli do Sukiennic i dopiero wtedy zobaczyliśmy stojącą tam czarną limuzynę, przy której powiewała amerykańska flaga. Z limuzyny na widok zbliżających się żołnierzy wyskoczył szofer, otworzył drzwiczki, zasalutował, żołnierze wsiedli, drzwiczki trzasnęły i limuzyna odjechała. Rynek nadal był pusty, zalany jaskrawym słońcem, z kamienic naprzeciw patrzyły na nas jak oczy szyby okien. Babka westchnęła i odeszła od okna. Sąsiadka też tak jakoś po cichu odeszła. Zrobiło się strasznie cicho. Nie tego oczekiwaliśmy przez długie, krwawe lata wojny.

LISTY

Kraków, 11 XII 1947

Drogi Czesławie!

Naturalnie tak gdzieś schowałem Twój list, że teraz go odnaleźć nie mogę. Trzeba pisać z pamięci. Po napisaniu odpowiedzi na pewno Twoja koperta ukaże rogi i będzie się śmiać z zapomnianych przeze mnie kwestii. Trudno. Jeśli dzisiaj, w niedzielę, nie napiszę, a kierat od jutra ruszy znów, czekaj Kaziu czasu swobodnego.

„Traktat moralny” otrzymałem. Wydruk. Ponieważ są w nim naturalnie zwroty, jakie mogłyby przeciwko Tobie zostać odwrócone, ponieważ ręczyć nie mogę czy wszystko Ignacy, Próchnicki przepuści, wolałem najpierw omówić sprawę z Kurylukiem. Jest tego samego zdania, co ja — drukować, ale podsunął mi pomysł, który chciałbym, żebyś



Kazimierz Wyka, lata czterdzieste

Ty również zaakceptowałeś. Otóż do „Traktatu”, jeśli się zgodzisz, dołączyłbym w formie krótkiego esaju ujęty list do Ciebie, będący równocześnie odpowiedzią na Twój „List półprywatny o poezji” a także wyjaśnieniem, przynajmniej próbą wyjaśnienia czytelnikowi, skąd u Ciebie taka forma. Rzecz oczywista, że ta próba wyjaśnienia ma sięgać do Twojego „Wstępu do poezji amerykańskiej” i dlatego najpierw puszczyć Wstęp (zeszyt lutowy), a zaraz potem „Traktat moralny”. Zechciej odpowiedzieć, czy zgadzasz się na takie następstwo. Naturalnie w tym liście pewne Twoje twierdzenia chciałbym zacząć, ale w żadnym wypadku w sposób dezawuuujący.

Co sam myślę o „Traktacie”? Powiem szczerze. Jestem dosyć zaskoczony i dopiero teraz, wstecz patrząc na Twój dorobek, zaczynam rozumieć kwestie, jakich dotąd nie pojmowałem. Np. rolę „Głosów biednych ludzi”. Twoją rezygnację z mowy zastępczej, mowy pięknych fragmentów i wzruszeń, na rzecz dyskursu i prozy, odczuwam dwojako. Jako żal, że już do mowy rozpędzonych obrazów nie powrócimy, trochę jako tęsknotę za nią, a równocześnie jako akt wielkiej odnowy. Spełniasz, co zapowiadałeś w „Liście półprywatnym”. Ale za to spełnienie się płaci i Ty płacisz również. Był wczoraj w Krakowie Eluard i kiedy czytał „Aux mes amis exigeants”, myślałem o tej cenie, jaką płacimy dzisiaj z różnych stanowisk. Masz rację — musi wtargnąć mowa bezpośrednia, efekt intelektualny, a za nimi rygor prozy, która przez to jest dobrą, że ozdób nie posiada i nie znosi. To już wyjątki — na razie myślane — z listu, jaki proponuję Twojemu „Traktatowi”.

W ojczyźnie? Zaczyna się zima, raczej smutno, ale zgoła nie laurowo. Jestem bardzo zatłoczony doraźnymi robotami, na niczym większym nie mogę się skupić. Wygrażają nam w powietrzu coraz to nowym zamówieniem społecznym, ale tacy jak ja ludzie już ledwo dyszą pod ciężarem tego zamówienia. Ciekawy był zjazd literatów we Wrocławiu. Czy otrzymałeś naszą kartę wspólną, trochę pod gazem popelnioną? Zjazd był ciekawy, ale na rynku wydawniczym absolutna głusza. Już się wszyscy wyprztykali i wracamy do rzeczywistości. Do nakładów takich samych jak przed wojną, ale pisarzy za to gorszych.

Dorota
Koman

Kazimierza Wyki do Czesława Miłosza

Nadchodzą Święta i Nowy Rok. Przyjmij dla całego Twojego domu, syna i pani Janki najlepsze życzenia i uściski, Nocy Sylwestrowej pomyśl o mnie, coraz większym samotniku

Kazimierz

Kraków, 16 III 1948

Drogi Czesławie,

Przed kilkoma dniami przesłałem Ci korektę „Traktatu moralnego”, a to dlatego, ponieważ chciałem uniknąć ewentualnych pomyłek, jakie zdarzyły się w Twoim przekładzie Eliota. Po przeczytaniu zechciej natychmiast tekst



Czesław Miłosz, lata czterdzieste

zwrócić. Zgodnie z Twoimi życzeniami najpierw pójdzie „Traktat moralny”, a później dopiero „Wstęp do poezji amerykańskiej”. Nie całkiem z nimi zgodnie o tyle, że „Traktat” dopiero w zeszycie kwietniowym, a „Wstęp” w następnym, czyli według kalendarza — majowym. Listu Twojego chyba nie wydrukuję, ponieważ nie chciałem umniejszać wagi samego wystąpienia Twojego przez podawanie czytelnikom do wiadomości kuchni, jaka przed drukiem mu towarzyszyła. Raczej co innego zrobię, o ile naturalnie na to pozwoli czas, mój wróg główny. — Podobnie jak w zeszycie grudniowym napisałem „sprawy i troski” dotyczące zagadnień prozy i krytyki (wątpię, czy Ci się podobały), ale to było taktyczne łączenie się połączone z taktycznym odgryzieniem, tak i teraz chciałbym do zeszytu majowego napisać zapowiedzianą tam zresztą analizę sytuacyjną dzisiejszej poezji. Z którą, zwłaszcza u najmłodszych, jest, ażeby wnioski uprzedzić tej analizie, całkowita katastrofa. Nikt o poezji dorzecznie nie pisze, w ogóle nikt o poezji nie pisze, jedynymi ludźmi mającymi nadal do powiedzenia jesteście wy, roczniki przedwojenne. Na mój rozum katastrofa zaciągnęła się na długi okres.

Musisz mi wybaczyć, że z tak haniebnym opóźnieniem odpisuję na Twoje listy. Żyjemy obecnie w ojczyźnie w epoce człowieka struganego. To jest moja prywatna teoria socjologiczna, zaraz Ci ją objaśnię. Kiedy powstaje nowa funkcja, nowe zajęcie, nowe miejsce do obsadzenia, zestruguje się jeden więcej wiórek z jednych wciąż i tych samych ludzi, bo nowi nie przybywają prawie zupełnie. Wydaje mi się, że w tej galerii struganych osób należą do najbardziej struganych, chociaż nie brak osobników jeszcze mocniej na wiórki pociętych. Jak np. Stefan Żółkiewski. Moje wiórki to: redakcja, normalne zajęcia profesorskie, Zarząd Główny ZZL, Instytut Badań Literackich, a pomniejsze wiórki niech pominiemy milczeniem. Daruj, ale życie nieraz w tych warunkach brzydnie, a chęć do tak luksusowych zajęć, jak korespondencja przez ocean, zupełnie jest zgnieciona chronicznym zmęczeniem i brakiem czasu.

Dlatego w tej sytuacji Ci piszę, ażebyś nie doznał zawodu, jeżeli „Traktat moralny” nie wywoła takiego echa na jakie zasłużył i jakiego się spodziewasz. Zarzuty moje, czynione na jesieni, teraz odwołuję prawie w zupełności. Przekonały mnie różne występy, występkę i występiątka ojczyznianych

poetów za ostatnie miesiące, a szczególnie zjazd młodych pisarzy w Nieborowie, że rozmiary katastrofy poetyckiej możemy umniejszyć tylko w ten sposób, w jaki Ty to czynisz w Traktacie: po ludzku, po prostu, jasno i z ryzykiem mówiąc o swojej postawie wobec świata, a nie kryjąc się w gąszczu obrazów i ornamentów. Nie znaczy to, ażeby Twoja kolumna wierszy w „Odrodzeniu” nie podobała mi się. Przeciwnie, podoba mi się więcej, ale w tym wypadku jestem rozdwojony pomiędzy wrażliwość, przyzwyczajoną do pewnych form wyrazu u Ciebie, a wrażliwość nową, którą trzeba dopiero w sobie przestawić i przerobić. Od tego człowiek bywa krytykiem, by stać go było na podobne procesy. Kolumna „Odrodzenia” bardziej mi się podobała, w „Traktacie moralnym” więcej masz słuszności, tak bym swoje stanowisko dzisiaj określił; słuszność w perspektywie rozwoju wygrywa.

Nadciągają święta. Wizje szynek, butli i bab świątecznych zawisają nad ojczyzną. Żreją znów, jak za czasów saskich. Naturalnie ci, którzy mogą. Przyznać jednak trzeba, że coraz więcej ludzi może, a pogłowie świń już podobno osiągnęło cyfrę przedwojenną. Skręcaj się z zazdrości konserwą w udko szarpany, jak by Wiech napisał. Z Krakowa coraz więcej pisarzy wynosi się systemem bezszmerowym. W najbliższym czasie Andrzejewscy i Gałczyńscy mają się przenieść gdzieś pod Szczecin. Na placu boju pozostaną wnet tylko zabytki, i to nie wszystkie, bo jeden z zabytków już się przeniósł do Warszawy (Helena Wielowiejska), — zatem Zabytki: Wieża Mariacka, Zosia Jachimecka, Helena Blumówna, no i ja. Ponadto trochę malarzy skostniałych w stanie postimpresjonistyczno-akademickiego konfetti. W połowie kwietnia na miesiąc wyjeżdżam do Moskwy oraz w inne okolice Związku Radzieckiego jako uczestnik kongresu uczonych słowiańskich. Bywalcy ostrzegają, ażeby, szczególnie w pierwszych dniach, nie jeść za dużo kawioru. Taki wyjazd ma naturalnie zapłatę, którą trzeba uiścić, zanim się w ogóle wyjechało: redaktor „Twórczości” musi przed odjazdem przygotować dwa i pół numeru, ażeby potem nie zalegał swoją obecnością na rynku. Dodatkowa robota! W Akademii Umiejętności drukuje się nareszcie moja książka o Norwidzie, korekty, korekty — dodatkowa robota! Po wyjściu z druku pozwolę sobie ofiarować Ci takową. Miałem również szersze zamiary wydawnicze na ten rok, ale poza tomem zebranych szkiców i recenzji o prozaikach powojennych, wątpię czy uda mi się coś więcej wykonać.

Jak Ci wiadomo, miałem na jesieni dosyć duże trudności z „Twórczością”. Obecnie się uspokoiło, ale jak były ataki, to nakład rósł i z jednej strony zmartwiony redaktor, z drugiej strony się cieszył. Ataki ustały, nakład zaczął spadać, redaktor z jednej strony się uspokoił, a z drugiej na odmianę zaczyna się smuć. „Odrodzenie” obecnie redaguje sam Borejsza. Chętnych na miejsce Kuryluka nie ma, a o kulisach całej historii trzeba by napisać cały traktat, niekoniecznie moralny, a jakoś na to nie mam ochoty; przypuszczam zresztą skądinąd informowano Cię o tym dokładnie. W kraju ma się teraz zacząć duża ofensywa kulturalna, szczególnie na odcinku czytelniczym, i B. zapowiada, że rozkręci „Odrodzenie” do znacznie wyższego nakładu, aniżeli posiadało za Kuryluka. Jestem w tej kwestii zdecydowanym sceptykiem. Największym zaś jestem, jeżeli chodzi o trwałość i jakość naszej informacji zagranicznej. Jeżeli wyłączyć Ciebie i Bieńkowskiego, Was dwóch jedynie, powiedz mi co właściwie robią „nasi za granicą”? Dlaczego najtrudniej jest zdobyć dobry, rzetelny materiał informacyjny spoza krajowych rogatek? Mam w tece np. artykuł o współczesnej literaturze arabskiej, ale to dlatego, ponieważ jakiś uczyony sowiecki napisał o tym obszernie dzieło, ale co się dzieje we Włoszech lub Niemczech ani rusz się dowiedzieć. Chodzą legendy i tyle. A potem odpowiadają redaktorzy swoją skórą, tak jak zapłacił nią Kuryluk.

To chyba wszystko. Synowi Twemu mli, mli, mli-mli i parę dźwięków z ogólnoswiatowego języka okresu popieluszkowego, Pani Jance ucałowania dłoni, a Tobie wiele serdecznych uścisków i głęboki kielich wiszniówki w niedzielę Wielkanocną.

Twój Kazimierz Wyka

Epifania

To było objawienie
Iluminacja
Katharsis

Poraziła mnie
oczywistość
jak bardzo

jak bardzo cię nie Kocham

Prezerwatywa

Żadnego przypadku

Zawsze w pogotowiu
pomiędzy banknotami
a dowodem tożsamości

Przypadkowa
będzie tylko kobieta

Slow-fox

mężczyzna
który przychodzi z przeszłości
powinien najpierw trochę ponarzekać
na żonę dzieci
psa i telewizję
a nie tak
w Kaloszach Szczęścia
do mojego łóżka

Wojna domowa

Najpierw była
zimna
wojna

Potem szukanie sojuszników
tworzenie koalicji
wieczne pakt o nieagresji

Rozejm
Lenno
Uznanie status quo

On
à la de Gaulle
przegrywał bitwy

Ja
szłam jak Pyrrus
od zwycięstwa do zwycięstwa

Wyprawa na szczyt

Ta wielka góra
rzeczy
na stole
to jest to czego nie zdążę
pokazać ci
dzisiaj

Tamte łańcuchy gór
to słowa których nie zdążę
powiedzieć

Jak echo w górach
wracają myśli których nie zdążę
połapać

Mówiłeś: razem przeniesiemy góry
Daleś nam na to
jeden wspólny dzień

KSIĄŻKI

Polak wyznania mojżeszowego

Henryk Vogler
Wyznanie mojżeszowe
PIW, Warszawa 1994.

Po Holocauście literatura na tematy żydowskie prowadzi nas ścieżkami tragedii; więcej nawet: tragiczność zdaje się działać wstecz i najprawdopodobniej inaczej czytamy Schulza znając okoliczności jego śmierci, inaczej myślimy o *Lecie Rudnickiego*, kiedy już przeczytaliśmy *Wielkiego Stefana Konckiego* czy *Kartkę znalezioną pod murem straceń*, i nawet Skamandryci (Tuwim, Słonimski), którzy tak uparcie kształtowali swój wizerunek polski, europejski, a na końcu żydowski, teraz zdają się występować w odwrotnym szyku. Słowem, temat się mitologizuje i trzeba zapewne z tym się pogodzić, jego życiowa tkanka ulega stopniowej przemianie, aby stać się tkanką symboliczną i wszystko zdaje się ulatywać na skrzydłach biblijnych obrazów.

„Byłem Polakiem wyznania mojżeszowego — powiada o sobie Henryk Vogler w opublikowanej właśnie książce. Będąca aneksem

do *Autoportretu z pamięci* tegoż autora ta niewielka książeczka jest jak orzeźwiająca kropla w morzu wznieśliwości. I o tym chciałyby napisać.

Żydowski Kraków z lat międzywojennych... We wspomnieniach Voglera nie jest on tworem osobnym, dwie formy życia przenikają się nawzajem, choć oczywiście bariery pomiędzy nimi istnieją. W innych pamiętnikarskich zapisach dotyczących tamtych lat, pisanych z innej perspektywy, żydowskiego Krakowa jakby nie ma (choć i w książce Kudlińskiego *Młodości mej stolica*). Podobnie w świadectwach nie-literackich, dokumentarnych przede wszystkim: żydowski Kraków objawia się jak gdyby ich autorom w momencie kiedy do miasta zaczynają napływać (w roku 1938) wiedeńscy Żydzi po Anschlussie Austrii. Jest to objawienie niedowierzające; zatem nie dopuszczano myśli, iż określone *status quo* może po prostu przestać istnieć.

Książka Voglera, w powodzi literatury „tematu żydowskiego”, a także wobec szczególnej i zrozumiałej jego waloryzacji, zwraca na siebie uwagę, co samo w sobie nie jest łatwo. Zadają więc sobie pytanie: dlaczego?, i odpowiadają na nie mniej więcej tak.

Rozpocząć wypada od spraw pozornie drobnych. Chociażby od obserwacji, iż Vogler opisuje międzywojenny Kraków w perspektywie jego ulic, jego stałych mieszkańców, jego sklepów i na koniec jego inteligencji i artystów.

„Zaczynając od moich ulic...” — można by tutaj powtórzyć słowa Miłosza, ale właśnie taki horyzont wspomnień dzisiaj nas przykuwa. Ponieważ tego Krakowa już nie ma — śledzimy dzieje na polu egzotycznego miasta, którego sklepy, handelki, śniadankowe lokale, adwokackie kancelarie, kabarety i kawiarnie rozplynęły się w powietrzu jak Chagallowskie fatamorgany. Ta mała historia, potem chętnie nazywana obszarem małej ojczyzny, bywa sceną historii wielkiej. Ale też wcale nią być nie musi. Tym niemniej Vogler otwiera historyczną furtkę wtedy, gdy powiada, iż do schyłku lat 30-tych rozumiał swój los jako podwójny: żydowski i polski, i w podobnych uwarunkowaniach toczyło się życie miasta. Polacy i Żydzi tworzyli organizm naturalny. Antysemickie zajścia lat 30-tych wywołyły poczucie obcości — fundament owej dwój-jedni zarysował się nieodwołalnie. Świetny fragment zatytułowany *Widmo krąży po Krakowie* ukazuje podszewkę kolejnej ówczesnej obsesji: wszyscy Żydzi to komuniści. Vogler widzi problem podobnie jak Jerzy Stempowski. Zapewne podzielałby zdanie, iż marksizm zaatakował głównie „żydowskich krawców” czyli biedotę, inni zaś polubili tę ideę nie tyle demonicznie, ile towarzysko. Na przykład: „Toteż na takich kolegów jak syn znanego adwokata Staszek Horowitz, jak piękny brunet Józef Schimmer... patrzyło się z podziwem, zwłaszcza wiedząc, że inwigilują ich stale tajniacy z Policji Państwowej. Ale w gruncie rzeczy niezbyt groźni byli to wrogowie ustroju. Nazywano ich, nie bez racji, „salonowymi” komunistami, nie tylko dlatego, że pochodzili przeważnie z bogatych, dobrze zarabiających rodzin, ale również dla-

tego, że na ogół ograniczali swą działalność do nie kończących się dyskusji”. Ponad nimi wyrasta postać Bolesława Drobnera, Żyda stylizowanego na marszałka i Sarmatę, socjalisty. Jeszcze po wojnie nosił on swój szary surdut i sumiasty wąs, co już zdawało się pozostawać w kompletnej niezgodzie z komunistycznym (a naprawdę socjalistycznym) zajęciem.

Wspomnienia młodości często deformuje idealizacja. Vogler wie o tym i nawet się do niej przyznaje. A jednak „Droga w głąb” ukazuje różne płaszczyzny bytowania żydowskiej rodziny bez sentymentalizmu. Chociaż przesuwały się w tym tekście, wraz z autorem, od realiów ku mistyce, od zwykłych wydarzeń po religijne uniesienia. I spojrzenie Voglera w jakimś momencie zbliża się do Vincenzowskiego, zachwyconego „Spotkaniami z chasydami”. Świat Żydów staje się nadnaturalny, poetycki, arkadyjski.

Henryk Vogler urodził się w roku 1911. Myślę, że jego przynależność do określonej generacji determinuje ton i postawę narratora *Wyznania mojżeszowego*. I mam na myśli nie tylko wymiar historyczny doświadczenia. O coś innego również chodzi. Otóż wydaje mi się, iż tkwi w emocjonalności tego pokolenia pewna rysa pojednawcza, skłonność do zrozumienia świata i jego szaleństw, skłonność do wybaczenia, i co dziwne, ale chyba prawdziwe, swoista pobłażliwość i dystans wobec grzechów ludzkości. A przecież wychowali się oni na katastrofistach (o Spenglerze zresztą Vogler w swojej książce napomyka, o Witkacym również...). Oskarża się ich czasem o cynizm — czy na pewno słusznie i potrzebnie?

Młodzi świadkowie i ofiary Holocaustu pragnęliby rozszarpowania ran. Tym samym chcieliby poprawić historię i udzielić jej srogiej lekcji, co wydaje się niemożliwe.

W postawie Voglera tkwi coś z mentalności lwaskiewiczowskich bohaterów uwikłanych w historię. Wiedzą oni, iż są bezradni, historyczne fale porywają ich i opuszczają, cofając się w głąb dziejowego morza, zaś im pozostaje tylko gorzka refleksja, czasem — lecz nie zawsze — ludzka pamięć.

Marta Wyka

KSIĄŻKI NADESLANE

EZRA POUND: POEZJE, Wydawnictwo Wojciech Pogonowski, Warszawa 1993.

Obszerny, pięknie wydany wybór poezji wielkiego amerykańskiego poety, eseisty i tłumacza (1885—1972) w układzie, przekładzie i ze wstępem zmarłego już poety Jerzego Niemojowskiego. Wdowa po twórcy tego translatorskiego dzieła, Maria Niemojowska, przygotowała *Glossarium* do tego wydania, poprzedziła również słowem wstępnym czołowy cykl w twórczości poetyckiej Pounda — *Cantos*, wyjaśniając przy tym intencje zmarłego nagle tłumacza.

JERZY JARNIEWICZ: ROZMOWA BĘDZIE MOŻLIWA, Wydawnictwo BIBLIOTEKA, Łódź 1993.

Trzeci, bardzo udany tom wierszy zdolnego łódzkiego poety (niedawno omawialiśmy na łamach „DL” jego tom *Rzeczy oczywistość*) i tłumacza Raine’a, Rotha oraz cennego kompendium Petera Calvoressiego *Kto jest kim w Biblii*.

RENATA DULIAN: FORSYCJA ZAPRASZA, KOKTAJLOWE SZCZĘŚCIE, Kraków 1992, 1993.

Dwa tomiki poetyckich miniatur. Autorka jest absolwentką filologii polskiej UJ, pracuje w Instytucie Języka Polskiego PAN w Krakowie, doktoryzuje się z językoznawstwa.

MAITREYI DEVI: MIRCEA, z bengalskiego przełożyła Elżbieta Walterowa, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1993.

Bengalska pisarka jest główną bohaterką opartej na wątkach autobiograficznych powieści miłosnej *Maitreji* wybitnego filozofa i religioznawcy Mircei Eliadego. Maitreyi Devi była córką znanego filozofa indyjskiego, pod którego kierunkiem Eliade w latach 1928—1931 studiował w Kalkucie filozofię indyjską i któremu później zadedykował swe fundamentalne dzieło *Joga. Nieśmiertelność i wolność*. Maitreyi Devi poznała treść *Maitreji* dopiero w latach siedemdziesiątych. Jej książka jest polemiką z wersją wydarzeń podaną przez Eliadego.

Takich sklepów jest kilka w Krakowie

Ryszard Löw

Pod znakiem starych foliantów

„Universitas”, Kraków 1993.

Pod znakiem starych foliantów Ryszarda Löwa należy do książek, które czyta się od deski do deski w pół godziny. Niewiele ponad osiemdziesiąt stron zajmują te cztery eseje poświęcone książkom — ich dziwnym losom, dziwnym historiom ludzi, do których należały, ludzi, którzy nimi handlowali, handlowi, który więcej miał z miłością wspólnego niż z zarobkiem.

Żydowski antykwariusze księgarscy w Krakowie — bo im właśnie poświęcona jest pierwsza część tej książeczki o polsko-żydowskiej tradycji książkowej — znani byli już od XVII wieku. Od tego czasu aż do lat 40. XX wieku stanowili bardzo istotną część krakowskiego życia kulturalnego. Mieli swoje dobre i złe lata: uprawiali obwoźny handel książkami, rozstawiali swoje kramiki na Rynku, a gdy ich stamtąd wygnano — na Placu Św. Ducha. Tam właśnie i na ulicy Szpitalnej powstało królestwo antykwariuszy, i polskich, i żydowskich. Porównywano „Szpitalkę” z warszawską Świętokrzyską. Chociaż sarkano, że mniejsza, jednak jej nastrój i magiczną aurę przedkładano nad stołeczną.

Niczym Schulzowskie cynamonowe sklepy otwierają się przed nami ciasne antykwarnie od sufitu do podłogi zastawione książkami, tak że ani dla klienta, ani dla sprzedawcy nie ma już miejsca. „Aż dziw bieriał, gdy taki wychudły i zazwyczaj brodaty typ, zapytany o jakiś dawno zapomniany tytuł, zniknął w czeluściach swojej nory, aby po długiej chwili wrócić z nieprawdopodobnie zakurzonym egzemplarzem

w rękę” — cytuję autor krakowskiego pisarza Jana Kurczaba, jednego z częstych gości antykwarni na „Szpitalce”.

Ciąg dalszy — i o ile smutniejszy! — losów słynnych krakowskich rodów księgarskich: Himmelblauów, Taffetów i innych opisuje czwarty i ostatni esej spod znaku starych foliantów zatytułowany Końcówki. Powojenna historia polskich księzek i księgarni w Izraelu jest już bez perspektyw i przyszłości, jak smutno konstatuje Löw, świadek końcówek — może smutnych, ale przecież naturalnych i nieuniknionych.

Właśnie dlatego, że autor zechciał przyjąć rolę tylko świadka, ta mała książeczka jest tak porywająca. Zdarzenia wśród księzek — zdarzenia wśród ludzi to tytuł trzeciego w kolejności eseju poświęconego posiadanym przez autora książkom z odręcznymi dedykacjami. Dedykacjami nie tylko dla ich obecnego posiadacza — przede wszystkim od i dla różnych znanych i nieznanymi osób. W szafach polonistycznej biblioteki Löwa w Tel-Awiewie spotkali się dzięki dziwnym wypadkom Stanisław Jerzy Lec, Paweł Hertz, Janusz Minkiewicz, Julian Strykowski, Melchior Wańkiewicz, Ewa Kaźdoniówna (żona Przybosia), Tadeusz Peiper, Krystyna Żywulska, Marian Hemar, Szymon Szymonowicz (oczywiście bez dedykacji autora, za to z pieczęcią wojskowej cenzury z roku 1947), Ferdynand Goetel, Władysław Broniewski, Julian Tuwim, Stanisław Wygodzki, Alicja Lisiecka, Juliusz Wit, Leopold Buczkowski, Jerzy Zagórski.

Przez pryzmat diaspory księzek zobaczyć możemy diaspore ludzi — tułaczki losy Żydów w Polsce i Polaków w Izraelu. Dzieje księzek okazują się odbiciem dzieł narodów, dzięki książkom właśnie docierają możemy do ludzkich historii, do tęsknot, pragnień i marzeń. Tak jak to się stało w przypadku starego podręcznika do literatury francuskiej, w którym przez ówczesnego zachowało się wycięte z „Gazety Krakowskiej” ogłoszenie o „rozpoczęciu kursów naukowych prof. Butrymowicza w drugim półroczu szkolnym 1925/1926”.

Wielkiej miłości do księzek, tych świadków i towarzyszy ludzkiego życia, uczy esej *O (żydowskiej) miłości do (hebrajskich) ksiąg* — bajkowy w swojej aurze, a zarazem pełen ciekawych informacji. „Z pożaru ratuj księgi przed innymi rzeczami” i „Biedą przyciśnięty sprzedasz książki na ostatku” to niektóre z zasad zanotowanych przez rabinów i przestrzeganych przez Żydów. Księgi należało gromadzić i dbać o nie jak o żywe stworzenia, a przede wszystkim studiować i innym pożyczać do studiowania. Żydowska filozofia umiłowania książki i wiedzy budzi wielki szacunek, a niezwykła atmosfera *Pod znakiem starych foliantów* jest dowodem, że ta tradycja wciąż jest żywa, mimo że „kończy się liczba czytelników”.

Wydana przez Towarzystwo Universitas zgodnie z żydowskimi zasadami — skromnie, ale porządnie, żeby „honor książki” nie ucierpiał — książeczka warta jest lektury. „W dzisiejszych czasach” refleksja nad losami i księzek i ludzi nie wydaje się pozbawiona sensu. A na dodatek *Pod znakiem starych foliantów* to świetny przewodnik dla miłośników melancholijnych spacerów po starym Krakowie pełnym tajemniczych antykwariatów i księgarni. „Trzy schodki w górę: długa ciemna sień antykwarni, lada uginająca się od książek. I naokoło, od podłogi do sufitu książki, książki, książki”...

Magda Heydel

Po wielu zabiegach i kłopotach oraz dzięki niebywałemu hartowi ducha polonistki i tłumaczki z Tokio pani Adachi Kazuko ukazała się w Japonii za japońskie pieniądze, na japońskim papierze i w japońskiej szacie graficznej dwujęzyczna, obszerna antologia dwudziestowiecznej poezji japońskiej pt. *Wiśnie rozkwitłe pośród zimy*. To pierwsza tego typu prezentacja poetów japońskich, którą przygotowali oprócz pani Adachi także prof. Wiesław Kotański i Tadeusz Śliwiak, który nadał wszystkim wierszom odpowiednią poetycką formę. Antologia ukazała się w tokijskim wydawnictwie Kokusai Bunka Shuppansha już w połowie 1992 roku, w polskich księgarniach nabyć ją można dopiero teraz, pod koniec 1993 roku. To jeszcze jeden dowód niefrasobliwej i opiekuńczej działalności naszej strony, o której bez ogródek pisze tłumaczka w swoim posłowiu. Porzucmy jednak żale i zajmijmy się choć przez chwilę samą książką.

Pani Adachi prezentuje 197 utworów lirycznych 113 poetów, urodzonych najwcześniej w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, a najpóźniej na początku lat trzydziestych wieku XX. Zatem najmłodszy autorzy w *Wiśniach rozkwitłych pośród zimy* mają powyżej pięćdziesięciu lat. Ponieważ noty o autorach przynoszą tylko informacje o dacie urodzin, ewentualnie śmierci, czytelnik nie jest w stanie przyporządkować ich określonej generacji czy okresowi literackiemu. Ten świadomy zabieg autorki antologii spowodował bardzo interesujące zlanie się poszczególnych poetyk i osobowości. W rezultacie czytelnik odnosi wrażenie, iż wszystkie zamieszczone wiersze wyszły spod pióra jednego nieśmiertelnego poety japońskiego. To wrażenie potęguje jeszcze

fakt, że tłumaczka wybierała utwory bardzo do siebie podobne, zarówno od strony tematycznej, jak i formalnej.

Nie jest to zarzut z mojej strony. Zmuszony niejako przez tłumaczkę do śledzenia poszczególnych wierszy, a nie rozwoju różnych osobowości, z konieczności zwracałem uwagę na podobieństwa, łatwo wychwytyjąc istotę współczesnej poezji japońskiej, o której przecież, poza tradycją haiku, niewiele słyszeliśmy. Tradycja haiku zresztą w dużym stopniu przesłoniła prawdziwy obraz tej poezji, która rozwijała się swoim własnym, wcale nie związanym z tradycją, rytmem.

Dla polskiego czytelnika wiersze umieszczone w antologii są wielkim zaskoczeniem. Niemal wszystkie odnoszą się do pejzażu i wyrażają najprostszyc uczucia. Nie ma w nich cienia ironii czy groteski, gry z językiem czy hermetycznych wynurzeń. Te szkice z natury, przedstawiające zazwyczaj jakiś mały wycinek rzeczywistości (gaj bambusowy, obejście gospodarstwa, chmury, metro, drogę do pracy) nie silą się na *pointę*, nie posługują się metaforami, mówią w sposób naturalny o sprawach bliskich każdemu przeciętnemu człowiekowi. Rzecz jasna nie tylko o dojrzewaniu owoców czy wózku w parku, także o przemijaniu, śmierci i zagrożeniach. Za każdym razem jednak ów nieśmiertelny poeta japoński pisze o sobie i swojej samotności, o swoim poczuciu zagrożenia i swoim rozumieniu czasu. Nie znajdziemy tu wielkiej wizji i filozoficznego napięcia. Mimo to każdy z autorów stara się zrozumieć istotę życia (miłości, starzenia się, upadku, straty, lęku ...). W każdym z wierszy opisane wydarzenie, tak zdawałoby się mało atrakcyjne i wcale nie wznieś, nabiera dziw-

KSIĄŻKI

Japończycy po polsku

Wiśnie rozkwitłe pośród zimy

Antologia współczesnej poezji japońskiej
opr. Adachi Kazuko, Wiesław Kotański, Tadeusz Śliwiak
Kokusai Bunka Shuppansha, Tokio 1992.

nej mocy i jasności. Sprawia to zarówno oczyszczona z wszelkich ozdób formą wiersza wolnego bezrymowego, jak i umiejętność skupienia się na najdrobniejszych szczegółach (mały wróbel w wierszu Takahashiego, cykada u Nakano, skowronek u Sakamoto, dziewczynka ze skakanką u Fujiwary...).

Być może, że ta jednolitość jest wynikiem pracy Tadeusza Śliwiaka. Wszak to on sam doprowadził do ostatecznej wersji polskiej 197 tłumaczeń, przygotowanych przez panią Adachi i skonsultowanych z prof. Kotańskim. Gdy-

by nawet tak było, że współczesna poezja japońska została udostępniona polskiemu czytelnikowi w subiektywnej do pewnego stopnia wersji jednego poety, Śliwiaka, to przecież nie można nie docenić jego istic tytanicznego wysiłku i często znakomitych efektów. Doceniła to i sama autorka antologii, dając na jej początku jako motto dwa wiersze Tadeusza Śliwiaka, napisane *à propos* tłumaczeń z japońskiego na język polski.

Julian Kornhauser

Policzyć śmierć

Daniel Defoe
Dziennik roku zarazy
przełożyła Jadwiga Dmochowska
Wydawnictwo „PULS”, Londyn 1993.

Miasto w objęciach śmierci. Ludzie umierają na ulicach, placach targowych, w swoich mieszkaniach i na drogach ucieczki. Stopy trupów rosą w zastraszającym tempie i służby komunalne pracują intensywnie 24 godziny na dobę, by nadażyć z uprzątnięciem i pochówkiem ciał. Powietrze wypełnia nieustanny krzyk konających; tych, którzy umierają w długich męczarniach i tych, których spotyka to nagle, bez przygotowania. Oblęd i strach święcą swoje triumfy. Matka porzuca dziecko, ojciec rodziny pozostaje nagle sam w wymarłym, pustym domu, niemowlę umiera z głodu przy trupie matki. Przerażeni mieszkańcy unikają siebie nawzajem, czekają w osłupieniu na swoją kolej. Rozmiary tragedii przekraczają granice ludzkiej wyobraźni, a bezradne słowo przywołuje już tylko kolejne liczby. Życie zamario, aktywność jest po stronie śmierci.

Obrazy te nie pochodzą z zapisków znalezionych w żydowskim getcie, obozowych pamiętników ani z literatury łagrowej — zawiera je *Dziennik roku zarazy* Daniela Defoe z roku 1722. Ta powieść, stylizowana na autentyczny pamiętnik z czasów epidemii dżumy w Londynie w roku 1665, uznawana jest dzisiaj za początek europejskiego realizmu w literaturze i jednocześnie stanowi jedno ze szczytowych osiągnięć tego stylu. Jej autor był przez wiele lat czołowym publicystą Londynu i doskonale wiedział, jakie modne tematy zainteresują szeroką publiczność. Dlatego gdy pod koniec życia zaczął pisać powieści, poruszył problemy kolonizacji nowych ziem (*Przypadki Robinsona Cruzoa*), nędzy społecznej i jej moralnych konsekwencji (*Moll Flanders*), wreszcie nowej obyczajowości mieszczańskiej (*Roksana*).

Także *Dziennik roku zarazy* dotyczył aktualnego tematu: w 1720 roku wybuchła zaraza w Marsylii i londyńczycy z przerażeniem zaczęli przypominać sobie wydarzenia z roku 1665, kiedy to według ostrożnych szacunków zmarło w Londynie około stu tysięcy ludzi (największe obawy budziła jednak nie sama dżuma, lecz fakt, że angielskie statki handlowe znów nie będą wpuszczane do obcych portów, co oznaczało utratę rynków). Defoe pierwszy podał w prasie informację o epidemii w Prowansji i niebawem opublikował broszurę pt. *Skuteczne przygotowanie ducha i ciała do zbliżającej się zarazy*. Wkrótce ukazał się trochę chaotycznie napisany i skonstruowany nie bez potknięć *Dziennik*...

Układ powieści wskazuje, że miało to być tyleż przypomnienie tragedii sprzed ponad pół wieku, ile podanie praktycznych wskazówek na wypadek powtórnego „nawiedzenia” miasta. Stąd liczne w książce uwagi o słusznych i chybionych ustawach, rozważania na temat przyczyn, natury i sposobów rozprzestrzeniania się zarazy, a także przytoczenie w całości zarządzeń wydanych przez władze miejskie Londynu w roku 1665. Bohaterem niby-pamiętnika jest młody rzemieślnik, rymarz, który z typową dla ówczesnej młodej burżuazji skrupulatnością odnotowuje kolejne fazy panowania dżumy.

Ale temat wymknął się autorowi. Regularnie przytaczane statystyki zgonów w pewnym momencie przerastają wyobraźnię czytelnika. Z mnóstwa rozmaitych opisów i podawanych zrazu spokojnie faktów wylania się nagle ponury obraz gwałtownego pochodu śmierci. Porady praktyczne przywołane zostają stos-

mi trupów. W miarę lektury czytelnik przestaje pamiętać o problemach organizacji i higieny, widzi tylko czającą się wszędzie grozę umierania, od której nie można uciec. Bo uciekinierzy zabierali śmierć ze sobą: ginęli po drodze (już zarażeni), bądź marli z głodu, nie wpuszczani do innych miejscowości. Opis przebiegu tragedii jest świetnie zdynamizowany: od pierwszych, niepozornych i lekceważonych oznak, poprzez panikę i masowe szaleństwo, aż po apatię i zobojętnienie wobec niechybnej śmierci.

Do treści znakomicie przystaje forma. Jako doświadczony publicysta Defoe wiedział, że najlepszy skutek odnosi pisanie prostym, „wziętym z życia” stylem, czyli uwalnianie narracji z pęt dotychczasowych konwencji. Przeczuwał też zapewne, że same realia bardziej przemówią do odbiorcy niż odautorskie komentarze. Stworzył więc oszczędny, powściągliwy język faktów i liczb, który stał się później wzorem dla XX-wiecznych pisarzy „epoki pieców”. Czerpał z niego nie tylko Albert Camus pisząc *Dżumę*, ale też np. Gustaw Herling-Grudziński, autor wstępu do obecnego wydania *Dziennika*. Badacz literatury może sobie przy okazji postawić pytanie o postęp w sztuce, skoro jedno z najlepszych dzieł literatury faktu powstało przed prawie trzystu laty, jako zapowiedź tego rodzaju pisarstwa.

Szczególne zainteresowanie w *Dziennikiem roku zarazy* przypada na wiek XX, kiedy to historia podsunęła nowy kontekst dla tej wstrząsającej powieści. Śledząc wraz z głównym bohaterem narastanie psychozy strachu, przyglądając się coraz częstszemu przypadkom oblędu, desperacji, paniki, zestawiając rosnące błyskawicznie liczby zgonów — czytelnik ma wrażenie uderzającej wręcz aktualności niektórych psychologicznych obserwacji autora. Podobnie jak w żydowskich gettach, obozach zagłady i sowieckich łagrach, także i wtedy w Londynie najwyższym bohaterstwem było zachowanie ludzkiej godności. Zwłaszcza że większość miłosiernych uczynków kończyła się śmiercią dobroczyńcy. Co więcej, w chwili gdy nikt nie chciał się poświęcać dla innych, wielu potrafiło jeszcze szaleńczo ryzykować dla zdobycia pieniędzy, czyli że panowała

przewrotna hierarchia wartości, którą to obserwację z bezlitosną szczerością potwierdził Tadeusz Borowski w oświęcimskich opowiadaniach.

Spośród licznych przenikliwych spostrzeżeń z dziedziny psychologii tłumy jedno zwraca szczególną uwagę: spadająca ilość zgonów gwałtownie wzrosła wkrótce po tym, jak rozeszła się pogłoska, że zaraza ustępuje. Ludzie przestali być ostrożni, ulga osłabiła ich mechanizmy obronne i ich odporność. Długie miesiące napięcia wynikającego z ostrożności, strachu, cierpienia doprowadziły do apatii, a gdy depresja osiągnęła punkt krytyczny, gdy dłużej nie można było wytrzymać — zaraza poczęła się cofać. I wtedy przyszła nagła radość, głęboki oddech i ponowne zbliżenie ludzi, które prowadziło do nowych zarażeń. Śmierć z euforii. Wyjątkowo okrutna igraszka losu.

Daniel Defoe był wielkim rzecznikiem nowej warstwy średniej, sam przez wiele lat zajmował się handlem i w kupcu widział wzór nowoczesnego obywatela. Zapewne wierzył w Boga, ale ten był dla niego przede wszystkim Wielkim Buchalterem, przed którym należało skrupulatnie rozliczyć się ze swego życia. Być może temu ostatecznemu rachunkowi służyły powszechnie wówczas spisywane dzienniki, pamiętniki, świadectwa transakcji handlowych. Bohaterowie Defoe to ludzie przeliczający wszystko na wszystko, a głównie życie na pieniądze. Podziwu godna jest sumiennosc, z jaką Robinson Cruzoa wypełnia swój dziennik handlowy, wierząc, że poprzez wykazy, zestawienia i liczby ocala pamięć o swoim istnieniu. Dla Moll Flanders życie było prostym rachunkiem zysków i strat, miało konkretną cenę, sprowadzało się do mniej lub bardziej udanych transakcji z losem. Purytańscy mieszczanie tamtego czasu pokładali spore zaufanie w rzetelnym przedstawieniu faktów i trudno się dziwić, że Defoe z podobną wiarą przystąpił do pisania *Dziennika roku zarazy*. Ciekawe, na ile miał świadomość, że temat przerósł jego założenia i książka powiedziała o ludzkim losie więcej niż autor zamierzał? Czy po napisaniu *Dziennika* czuł, że tym razem zawiódł Wielkiego Buchaltera, bo śmierci policzyć nie można?

Krzysztof Zajas

KSIĄŻKI NADESLANE

Wydawnictwo MINIATURA —

JERZY HAJDUGA: ZABŁĄDZIĆ, Kraków 1994.

Tom udanych krótkich liryków młodego kapłana.

KRYSZYNA RODOWSKA: NUTA PRZECIWI NUCIE, Kraków 1993.

Wybór wierszy miłosnych z lat 1968—1992 znanej poetki i tłumaczki literatury hiszpańskojęzycznej i francuskiej.

KONSTANTY ILDEFONS GALCZYŃSKI: SERWUS MADONNA, Kraków 1994.

Niewielki tom liryki Galczyńskiego w wyborze i opracowaniu córki Poety, Kiry Galczyńskiej. Zaskakujące jest przytoczenie cytatu z *Dzienników* Lechonia: „Nie widzę Miłosa w jakiejś antologii za sto lat. A np. *Serwus, madonna* Galczyńskiego zawsze da się czytać”. Nazwać to chyba można przykładem nieuczciwego chwytu reklamowego! A tego Galczyńskiemu i Jego wierszom wcale nie potrzeba.

HALINA PODGÓRSKA: MAŁE PRZYMIERZE Z ABSOLUTEM, Kraków 1993.

Trzeci zbiór wierszy autorki, zajmującej się także malarstwem, muzyką i małymi formami prozatorskimi.

KURT KLINGER: POŁALUNEK, Kraków 1994.

Zbiór niezwykle interesujących wierszy poety niemieckiego (?) — przekład Krzysztof Lipiński. Gdyby Miniatura oraz tłumacz przybliżyli postać twórcy, byłibyśmy lepiej poinformowani.

ZDZISŁAW PRUSS: ADRESAT NIEZNANY, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 1993.

Piąty zbiór poezji autora związanego z toruńskim i bydgoskim środowiskiem literackim, dziennikarza i konferansjera.

ANNA WOJNARSKA: RACHMISTRZ DESZCZU I INNE HISTORIE, Klub Artystyczno-Literacki Teatru Stygmator, Kraków 1994.

Tom niezwykłych próz poetyckich krakowskiej autorki (część z tych utworów drukowaliśmy w „DL”). Wstęp Krzysztofa Lisowskiego, na okładce reprodukowano obraz Autorki.

JAGODA CIESZYŃSKA: PRZEZ CIEBIE JESTEM, Kraków 1993.

Tomik miłosnej liryki poetki z Krakowa, w wyborze i ze wstępem K. Lisowskiego. Autorka jest psychologiem i logopedą. Jej pasją jest „odkrywanie znaczeń słów razem z małymi niesłyszącymi dziećmi”.

WITOLD ZECHENTER: ROZMOWA Z SOBĄ, Kraków 1994.

Przygotowany przez córkę Poety wybór wierszy i fraszek znanego, zmarłego przed piętnastu laty, pisarza, związanego z Krakowem. Układ wierszy i wzruszające wspomnienie o Ojcu: Elżbieta Zechenter-Splawińska.

SERGIUSZ JESIENIN: CZARNY CZŁOWIEK I INNE WIERSZE, Wydawnictwo Bohdana Wrocławskiego, Warszawa 1994.

Piękny tomik w serii „Pisarze świata”, wybór dość reprezentatywny dla poszczególnych etapów twórczości Jesienina, poprzedzony przedmową J. A. Grochowiny, zaopatrzonego w kalendarium życia poety.

DAPHNE DU MAURIER: REBEKA, „Od nowa” Spółka Wydawnicza, Katowice 1993.

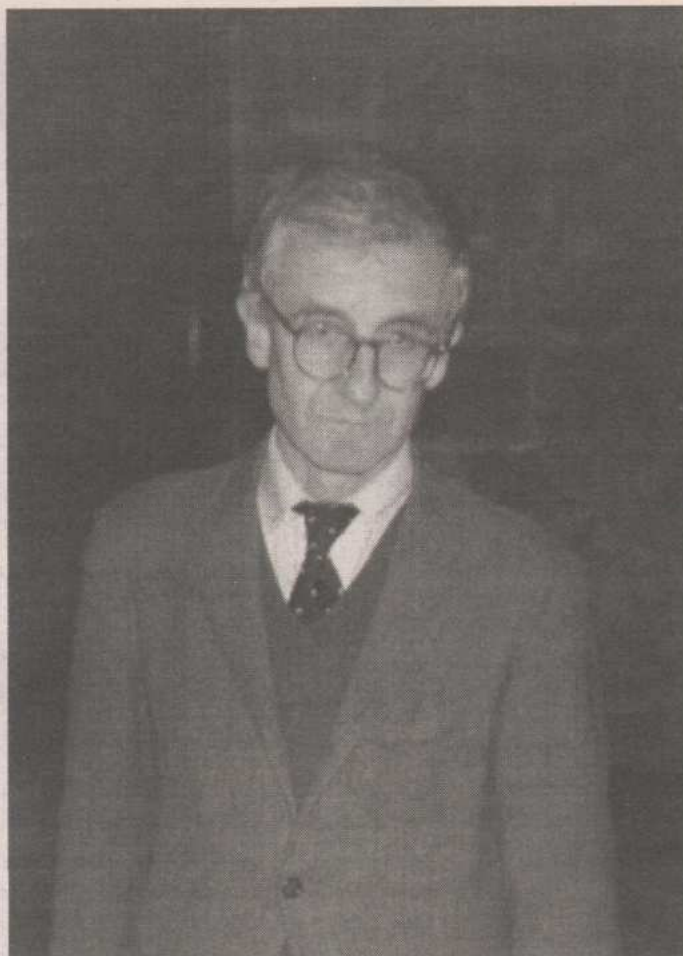
Przedwojenny światowy bestseller, ekranizowany przez Hitchcocka (film nagrodzono dwoma Oskarami).

SUSAN HILL: PANI DE WINTER, „Od nowa” Spółka Wydawnicza, Katowice 1994.

Nowy przykład udanego produkowania „dalszych ciągów”: to c.d. *Rebeki*, napisany przez współczesną autorkę angielską i opublikowany zaledwie kilka miesięcy temu.

PROSTO Z GÓR, Biblioteczka Teatru Stygmator, Kraków 1993.

Antologia wierszy „inspirowanych istnieniem gór”, a w niej utwory 14 autorów, m.in. Wojnarskiej, Zemanek, Ziemiannina.



Andrzej Dobosz

Portret inteligenta

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

połączeniu z innymi. Być może i dlatego ranga *Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia* wykracza daleko poza granice przynależne zazwyczaj tego rodzaju edycjom. Stając się — poza wszystkim innym — autoportretem (czy po prostu portretem) inteligenta. Tego inteligenta, którego się dziś specjalnie, z różnych względów nie ceni, a bez którego znaczącej obecności tak łatwo brnąć we frazeologię, umysłową łatwiznę, złe obyczaje i zwyczajne chamstwa.

Andrzej Dobosz jest w pewnym sensie inteligentem modelem: i to w dawnym tradycyjnym rozumieniu tego pojęcia. Z wszystkimi jego słabościami, pewną manierycznością, egocentryzmem, nadmierną czasem „literackością” w ocenianiu świata („od dawna zresztą przyzwyczaiłem się myśleć, a więc i mówić cytatami”) i zbyt częstymi może ucieczkami w książki („zauważyłem jednak, że argument za tym, by przełożyć życie nad książki zacerpnąłem właśnie z jednej książki”). Ale także z wszystkimi jego zaletami, które w każdej epoce i ustroju należałoby pielęgnować troskliwie. Niecodziennym oczytaniem („zaczynały się najlepsze lata mojego życia: czytanie”). Wiedzą zdobywaną z przyjemnością i bezinteresownie, wykorzystywaną wprawdzie — z umiarem i dystansem — w publikowanych tekstach, lecz gromadzoną nie na ich doraźny użytek. Ciekawością świata i ludzi zaspokajaną nie tylko poprzez codzienną obserwację życia, lecz także (a nawet przede wszystkim) dzięki godzinom spędzonym w bibliotekach, a owocującą awersją do łatwych uogólnień, postrzegania zjawisk wyłącznie w dwu przeciwstawnych barwach. Wiernością zasadom moralnym, odnoszącym się nie tylko — jak to dziś w zwyczaju — do polityki, ale i spraw z pozoru drugorzędnych, co nie bardzo jest dziś niestety w modzie. Pisze np. Dobosz na marginesie rozważań o jednej z książek „*Idea, że wobec zmarłych nie obowiązują nas już względy przyzwoitości, jakie bylibyśmy im gotowi świadczyć za życia, jest — jak się wydaje — świeżej daty*”. Jakże egzotycznie brzmi to w istocie banalne zdanie dzisiaj, gdy „względów przyzwoitości” przestały w tej mierze obowiązywać także w stosunku do żywych i gdy dyskrecja jest uważana za cnotę bezrozumną.

Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia (tytuł książki pochodzi od pseudonimu Dobosza z „epoki «Współczesności»”) nie jest jednak — jak wiadomo — moralizatorem. Raczej subtelnym ironistą. Doskonałym podpatrywaczem codzienności, o której bardzo rzadko mówi w manierze publicystycznego „wprost”. Myślę, że nie tylko ze względu na onegdajszą cenzurę (choć i ten powód nie był w swoim czasie bez znaczenia), ale i z upodobania. Jest w tej książce sporo sformułowanych w sposób bezwzględny kąśliwości i na temat absurdów bieżącego życia, i poszczególnych osób: Przymanowskiego, Drodzowskiego, KTT, Jana Zakrzewskiego („...zawsze wtedy jest audycja «Co słyhać», w której Jan Zakrzewski opowiada z Nowego Jorku o kolejnych przykrościach, które go spotkały”). Jest nieco anegdot i charakterystycznych „rozmów zasłyszanych” — najczęściej w autobusie. Ale tak naprawdę, gdyby się chciało (co nie jest konieczne) szukać w tej książce istotnej prawdy o PRL-owskiej rzeczywistości, o mentalności, o codziennej kulturze, to wylania się ona raczej z tekstów, które ukazują ich degrengoladę poprzez zderzenie „dziś” i „wczoraj”, oglądaną nie z dziennikarskiej, lecz znacznie szerszej i głębszej perspektywy; tej jaką daje erudycja, pozwalająca osadzić „tu i teraz” nie tylko w doraźnych, aktualnych kontekstach.

A więc w esejach, poświęconych np. PWN-owskiej Bibliotece Klasyków Filozofii, słownikom biograficznym lub po prostu książkom kucharskim dawnym (*Kuchnia narodowa polska* z lipca 1968 roku!) i całkiem nowym. Szkic *O kaszy mannej* (lato 1989), traktujący o *Współczesnej kuchni polskiej* Henryka Dębskiego wydanej w stu tysięcznym nakładzie w drugim roku „wojny jaruzelskiej” staje się dla Dobosza dodatkowo — niewykorzystaną przez innych — okazją do stworzenia mini-syntezy stanu wojennego; w której mniej idzie zresztą o martyrologię („ketchupem wreszcie mają być skropione «szparagi à la Radziwiłł». Pomawianie Radziwiłłów, że szparagi jadali z ketchupem było zapewne najdrobniejszą z niegodziwości, uczynionych w Polsce w roku 1983”), bardziej o kwestie smaku. Nie tylko smaku pojmowanego — jak to w książkach kucharskich bywa — nader dosłownie, ale i w sensie Herbertowskim.

Jest przy tym wyraźnym znakiem czasu, że o ile dawniej czytając teksty Dobosza odnajdywało się (nawet w tych od dnia codziennego najodleglejszych) aluzje do współczesności, tak teraz owa współczesność zdaje się tu stosunkowo mało zajmująca. W jakimś sensie chciałoby się tu użyć formuły, którą on sam posłużył się pisząc o Zbigniewie Raszewskim: „*eseje mieszają się z rzetelnym opisem rzeczywistości, wydającej się bytem podrzędnego rodzaju*”.

Był istotny odsłaniany jest dzięki lekturom. Nad wyraz rozległym i nieraz zaskakującym. Przede wszystkim dziewiętnastowiecznym; Dobosz projektujący w połowie lat 60-tych napisanie powieści osadzonej ok. roku 1840 przygotowywał się do zadania solennie. Swoje „postanowienie, by przeczytać wszystkie książki wydane między rokiem 1815 a 1855” realizował w stopniu maksymalnie możliwym, nie pomijając nie tylko pamiętników, korespondencji, prasy, ale także *Kucharki litewskiej* Wincentyny Zawadzkiej i *Fantazyjnych objawów zmysłowych* doktora Wiktora Szokalskiego. Powieść, jak się zdaje, nie powstała, ale lata nie były zmarnowane. Ani dla czytelników Dobosza — na marginesie bowiem tych lektur powstała ogromna ilość jego świetnych esejów. Ani dla samego autora: obcowanie z książkami jest dla niego wyraźnie przyjemnością większą niż ich tworzenie. Ilość tytułów i zakres zainteresowań

(wszystko tu zaspokaja ciekawość czytającego: i rozważania o dziewiętnastowiecznym tkactwie, i *Praktyczne wskazówki dla zbieraczy motyli*) są doprawdy imponujące. Nic dziwnego, że podczas rewizji, jaką przeprowadzono u Dobosza w roku 1972, z ust „jednego z panów” wydobyło się ni to usprawiedliwienie, ni skarga: „*To trwa tak długo, bo ma pan wydawnictwa, z którymi dotąd nie zetknęliśmy się*”.

Przy pewnej dla Dobosza niechęci (której chyba jednak nikt nie żywi) owo powoływanie się na coraz to inne książki można by określić swoistym rodzajem snobizmu. Ale, jeśli nawet i on wchodzi częściowo w grę, to z pewnością nie jest decydujący. Mamy oto do czynienia z niezbyt już popularnym gatunkiem humanisty („*Profesor Kurkowska, o rozprawie, której nie skończyłem jeszcze opowiadać, mówi o humanistycznych intelektualistach. Hmm... Jak określić matematyka Hugona Steinhaus?*”) z prawdziwego zdarzenia, a w dodatku — co jeszcze rzadsze — nie dającego się zamknąć w żadnej ze specjalistycznych szuflad. W tej mierze pozostał wierny swemu odkryciu, dokonaniem jeszcze w czasie studiów, kiedy to czytywał w bibliotece uniwersyteckiej różne stare oraz (z poręki Kotta) nowsze, lecz niedozwolone wówczas czasopisma: „*Któregoś dnia pojąłem, że historia, a mówiąc dokładniej parę ówczesnych historii interesuje mnie znacznie bardziej niż krytyka teatralna*”. „*Filozof, o którym chcę powiedzieć, analizował sytuację, w której praca zaczyna być podzielona, każdy ma pewien swój wyłączny, ograniczony krąg działalności (...). W tej chwili przypomina się myśl filozofa odmienniej zupełnie tradycji, Pascala: Nie powinno się mówić o nim ani matematyk, ani karnodzieja, ani krasomówca, ale człowiek; jedynie ta ogólna właściwość przypada mi do smaku*”.

Ponieważ jednak określenie „człowiek Dobosz” nie brzmi fortunnie także dlatego, że człon pierwszy ma w takich zbitkach określone konotacje, wolno chyba rzecz bardziej uściślić, zresztą przy pomocy formuły dość pojemnej: eseista, wywodzący się z najlepszej, choć niecenionej w PRL-u szkoły: Jerzego Stempowskiego.

Dzięki inicjatywie „Pulsu” został bowiem przypomniany doskonały eseista, wrażliwy jak niewielu na kwestie stylu i języka. Zgoda, iż zajmujący się nie tylko pisaniem esejów. A zarazem właśnie człowiek, człowiek niezależny, przeczący (jak i wielu innych) dość popularnej tezie, iż w PRL (w której spędził przed wyjazdem do Francji — blisko czterdzieści lat życia) żadna niezależność nie była możliwa. Dobosz nie był aktywnym opozycjonistą (chociaż — o czym nie pisze — brał udział w paru opozycyjnych akcjach), ale żył w świecie, w którym władzę sprawował sam. Nie był to żaden „świat zastępczy”, lecz świat, który stanowił dlań niejako „środowisko naturalne”. To prawda: w znacznej mierze dzięki cechom swego szczególnego charakteru i intelektu, zapewniającym mu ową niezależność niejako samoistnie. Doskonałości i „prawdziwość” kreacji Dobosza w *Rejsie* wyraża m.in. następująca scena: trzech członków Rady, przygotowującej artystyczny wieczerok, dyskutuje jego koncepcję, stopniowo pogrążając się w wodzie. Z zaangażowaniem ideą jest istotniejsze od tego, co dookoła. Dotyczy to całej trójki: ale tylko w wypadku Dobosza — owo „dookoła” oznacza więcej niż rzekę. Także owych dwóch współtowarzyszy, z którymi w swych teoretycznych wywodach nie ma wszak żadnego kontaktu, co nie wydaje się dla niego żadnym ograniczeniem ni przeszkodą.

Marta Fik

* Andrzej Dobosz: *Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia*, „PULS”, Londyn 1993.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

poetyckich, krytycznych i eseistycznych nie przekraczające ostatnio kilkuset egzemplarzy. Zawsze można się przecież zasłonić fetyszem rynku, według wydawców niczym nie zainteresowanego, nic wcześniej nie robiąc, aby popyt pobudzić.

Ten rodzaj dofinansowywania literatury, którego przykładem jest mitologizowana szczególnie przez liberałów instytucja grantu, dotacji itd., zawiera w sobie jeszcze jeden kłopotliwy aspekt. Na styku interesów wydawcy, autora i ewentualnego sponsora rodzi się owa „szara strefa” subtelnych uzależnień. Wszak konkretna dotacja to zysk dla wydawcy, podtrzymanie jego firmy, dofinansowanie jego interesów. Nowych wydawców jest w Polsce około dwóch tysięcy. Kryteria przyznawania owych dofinansowań są w zasadzie jasno określone. Ale pozostaje margines niepewności — dlaczego akurat x a nie y pylon? Osobiście spotkałem się już i z takimi konkretnymi sugestiami niektórych wydawców, że ewentualni donatorzy także mają swoje sympatie i antypatie. Czy rzeczywiście zawsze najlepiej wychodzi na tym autor i jego dzieło? Czy aby nie jest on traktowany jak uciążliwy petent, zło konieczne i zawałdroga, bez którego w błogim spokoju mogłaby się toczyć Parkinsonowska zabawa instytucji (czyli w tym przypadku fundacji i wydawnictw), które w pewnym momencie wystarczają same sobie? A następny ważny szczegół: dlaczego to przy większości dotacji i innego rodzaju dofinansowań istnieje klauzula, że mogą one być przeznaczone tylko na koszty rzeczowe? Jeżeli honoraria są następnie przez wydawców drastycznie zaniżane lub — coraz częściej — w ogóle nie płacone, jeżeli w szczególnych przypadkach autor jest ordynarnie okradany, to z czego po prostu ma żyć? W jakich warunkach ma powstawać owo dzieło? Czy ma ono być nieustannym „darem dla narodu”? Czy każdy z nas, piszących, ma odkryć w sobie żyłkę przemysłowca, gracza na giełdzie, dealera narkotyków pod żeńskim liceum, aby następnie tym co nas rzeczywiście obchodzi i boli zajmować się od święta? W procedurze przyznawania owych dotacji przyjęto bowiem — nie wiem, czy najszcześliwszą — zasadę przydzielania ich na etapie gotowego maszynopisu, zgłoszonego przez autora, ale najlepiej przez konkretnego wydawcę (chodzi o koszty i inne szczegóły techniczne). Nie opracowano natomiast mechanizmu, pozwalającego np. na udzielanie pisarzowi stypendium na konkretne dzieło, pod rygorem zwrotu przyznanej wcześniej dotacji jeżeli zapowiadany utwór nie powstanie. Otwiera się tu przecież pole do popisu i dla różnego rodzaju fundacji kulturalnych, jak i dla Ministerstwa Kultury i Sztuki. Wszak znano takie rozwiązania w II Rzeczypospolitej, do której tak często kieruje

się obecnie nasz wzrok. Te szczegółowe zagadnienia można by zresztą mnożyć w nieskończoność, przejdźmy zatem do konkluzji.

Pierwsza jej część ma charakter praktyczny i dotyczy sposobu zmiany naszkicowanego powyżej stanu rzeczy. Chodziłoby zatem o roztoczenie większej kontroli finansowej i prawnej w stosunku do wydawcy przede wszystkim przez prawo, zapewniające ochronę autora, a w dalszej kolejności przez powołane do tego instytucje. Uporządkowanie systemu różnorodnych dofinansowań, uczynienie go przejrzystym w postaci czytelnych reguł gry, dających szansę autentycznej konkurencji każdemu autorowi dzieła artystycznego i naukowego. Książki niskonakładowe, zaliczane do kultury elitarniej, powinny być dotowane przez odpowiednie ministerstwa. Agresywna kultura masowa obroni się sama. Inaczej publikacja większości tomów poezji, esejów, a nie daj Boże książki naukowej, będzie nadal postrzegana przez wydawców, cytując autentyczne określenie jednego z nich, jako „zysk dla kultury i strata dla przedsiębiorstwa” oraz wielka łaska zrobiona autorowi. Myślę także, że warto by powrócić do dziecka „wylanego z kąpielą”, czyli jednak do obowiązku umieszczania przez wydawcę metryczki dotyczącej wysokości kolejnych nakładów. Usunęłoby to szereg niejasności w stosunkach autor — wydawca. Ideologia, bo już nie idea, ustrojowej transformacji, nie może usprawiedliwiać ordynarnych oszustw i nieprawidłowości na rynku wydawniczym, których jesteśmy świadkami. Nie może także tłumaczyć owego lekceważenia ze strony niektórych wydawców, z którym, jako autorzy, spotykamy się w ostatnich latach. Przyswajana w najprymitywniejszych formach idea wolnego rynku, zwycięski pochód forpoczt kapitalizmu (w białych skarpetkach) nie jest żadnym usprawiedliwieniem powyższych postaw. Podobnie jak i brak przepisów finansowych, które sponsorowanie kultury czyniłoby opłacalnym dla donatorów przedsięwzięciem.

Nie bez winy w tej sytuacji wydaje się także samo środowisko pisarskie, które nie potrafi w sposób skuteczny walczyć o swoje realne interesy. Dawne podziały polityczne i ideologiczne wciąż odgrywają przemożną i nieproporcjonalnie dużą rolę, a dzieje się to w obliczu zagrożonego bytu pisarza polskiego. Środowisko to, ulegając mitologiom przeszłości, w których mieściła się także pokora inteligencji polskiej wobec cierpiącego losu, subiektywnie przekonanie, że jest czymś gorszym wobec innych grup społecznych,

przyzwolenie na niski status materialny, nie potrafiło dotąd wyłonić reprezentacji o charakterze stricte zawodowym w celu obrony (np. przez nacisk na odpowiednie komisje sejmowe) swoich żywotnych praw. Myślę, że biorąc pod uwagę chociażby ów szczególny dług, jaki społeczeństwo zaciągnęło wobec najlepszej części inteligencji w latach osiemdziesiątych, ma ona dzisiaj moralne prawo, także w domenie literatury i sztuki, do obrony przed naszkicowanymi tu praktykami.

Jest oczywiście i druga część tej konkluzji, którą bronić się pragnę przed posądzeniem o „naiwność”, „idealizm” i — uchwaj! — „postawę roszczeniową”. Wszak umrzeć mamy w spokoju, stojąc i nikomu zbytniego nie sprawiając kłopotu. Otóż oponentów szczególnie poruszonych (jak się domyślam) moją krytyką „postsolidarnościowego rozumu” spieszę zapewnić, że oczywiście cieszę się i podzielam ich radość z powodu braku cenzury oraz z powodu posiadania paszportu w szufladzie. Zdaję sobie także sprawę (we dnie i w nocy) ze zmienionego na skutek politycznej transformacji komunikacyjnego modelu literatury. I moja wdzięczność dla wolnego rynku, na którym przecież zawsze dobry pieniądz wypiera zły, jest jak Europa, czyli bez granic. Chociaż znam państwa zachodnie, bogate i kapitalistyczne, gdzie się kulturę, w tym także literaturę, a przynajmniej tę ambitną, na różne sposoby dofinansowuje. To tylko ironia historii sprawiła, że w trakcie powrotu do II Rzeczypospolitej znów przypomnieć musimy sobie te cichcem robione dodatkowe nakłady, groszowe honoraria w postaci kilku milionów złotych (i to w szczęśliwym przypadku) za książkę będącą efektem wielu lat pracy, arogancję niektórych wydawców i los wielu autorów puszczonych przez nich wczoraj i dzisiaj nie tylko w skarpetkach, ale i bosu.

Powody tego dramatu są naturalnie bardziej złożone. Na klęskę pisarza pracuje obecnie w Polsce zmiana kulturowych kodów, zmieniona sytuacja literatury w obliczu masowej kultury, która tak naprawdę dopiero teraz do nas dotarła, nieprzygotowanie do odbioru kultury wysokiej absolwentów przyspieszonego kursu agresywnej kultury audiowizualnej. Amerykanizacja kultury polskiej i związane z nią złudzenia zarówno telewizyjnych decydentów (wolny rynek ma granice w tej dziedzinie), jak i odbiorców. Wiem, wiem... rozumiem. Ale to już całkiem inna i smutna historia.

Stanisław Stabro

WIZERUNKI SŁAWNYCH PEDAGOGÓW POLSKICH

Wincenty Okoń

Cena 80 000 zł

„Jest wiele czynników integrujących bądź dezintegrujących zbiorowości ludzkie. Poziom integracji społeczeństw, narodów, państw i wszelkich innych zbiorowości zależy od tego, jak wykorzystują te pierwsze i jak unikają tych drugich. Jednym z najważniejszych czynników korzystnie wpływających na integrację jest edukacja”.

„O korzystnym wpływie edukacji dobitnie świadczy rozwój tych narodów i tych państw, które potrafiły docenić jej znaczenie, a więc zarówno znaczenie twórczej myśli pedagogicznej, jak praktycznej działalności oświatowo-wychowawczej”.

„Na szczęście polska pedagogika i polska oświata nie przeżywały głębokich wstrząsów, ale i tak zadania edukacji ulegały znacznym waha-

niom, przede wszystkim w związku ze zmianami politycznymi kraju. Zwłaszcza w latach niewoli i ucisku oświatowego osłabieniu ulegała integracyjna działalność edukacji. Okresem nie sprzyjającym temu były również dziesięciolecia powojenne, gdy ideologia polityczna brała często górę nad suwerennymi prawami edukacji. W tych warunkach wzrastało znaczenie ludzi wybitnych, którzy nie poddając się presji władzy czy wpływom ideologii, poszukiwali prawdy o wychowaniu i śmiało ją głosili w swoich pracach czy nawet wcielali ją w życie w twórczej praktyce edukacyjnej”.

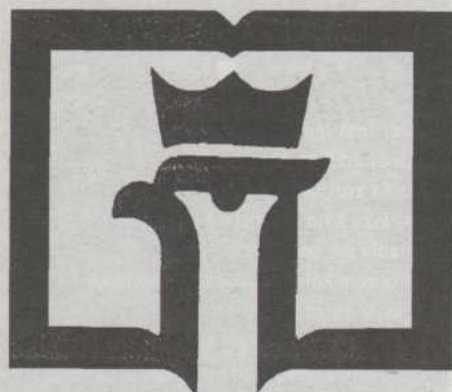
Z Przedmowy

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI FIRMOWYCH

w WARSZAWIE:

ul. Kredytowa 9, pl. Dąbrowskiego 8
tel. 26-54-51 w. 170, 26-75-70, 26-01-76

w KRAKOWIE:

ul. Sławkowska 11, Księgarnia Literacka
tel. 22-47-73

WSiP

WYDAWNICTWA SZKOLNE I PEDAGOGICZNE

00-950 WARSZAWA, Plac Dąbrowskiego 8,

tel. 26-54-51 (centrala), fax 27-92-80

tellex 816132 WSiP pl.

Dział Sprzedaży Hurtowej WSiP: Warszawa, ul. Grochowska 21, tel. 610-69-06, tel/fax 610-67-95

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: KRAKOWSKA FUNDACJA KULTURY, ul. Kanonicza 7, 31-002 Kraków, tel. 22-47-73. Adres redakcji: ul. Kanonicza 7. Redakcja: Marta Wyka (redaktor naczelny), Zbigniew Baran, Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski, Włodzimierz Maciąg, Aleksander Pieniek (grafik), Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska, Teresa Walas (sekretarz redakcji). Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Anna Baranowa, Wacław Iwaniuk (Kanada), Julian Kornhauser, Stanisław Lem, Jerzy Lohman, Leszek A. Moczulski, Maria Niemojowska (Londyn), Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Małgorzata Ruda, Jan Józef Szczepański, Witold Turdza. Skład i łamanie: ARTA WYDAWNICTWO, Kraków, Rynek Gł. 6, tel. (0-12) 21-18-14, fax (0-12) 21-13-08. Druk: Drukarnia ASSICO, 90-532 Łódź, ul. ks. Skorupki 17/19. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty na rok 1994: kwartalna wynosi 60.000 zł, półroczna 120.000 zł, a roczna 240.000 zł; za granicą kwartalna wynosi (licząc w dolarach USA) 10\$, półroczna 20\$, a roczna 30\$. Wpłaty prosimy dokonywać na: Krakowska Fundacja Kultury, Bank Przemysłowo-Handlowy, IV Oddz. w Krakowie — nr 323415-709987-132-3 ISSN 0867-4094

CAMERA OBSCURA

Na marginesie wydania t. II *Listów do rodziny* J. I. Kraszewskiego pisze Wojciech Natanson („Nowe Książki” nr 12): „Niestety nie znamy opinii Kraszewskiego o *Trylogii*. Czytamy tylko zacytowane przez edytora zdanie jego brata o *Ogniem i mieczem*. Opinię tę jednak łatwo znaleźć; Kraszewski recenzował *Ogniem i mieczem* w „Kłosach” w r. 1884 (przedrukował tę recenzję St. Burkot w zbiorze *Kraszewski o powieściopisarzach i powieści*) — dostrzegł w powieści wiele zalet, ale i wady, przede wszystkim kompozycyjne. (hm)

A. W. w „Dziś” (nr 10, s. 127) radując się z wznowienia „Kamery” pisze: „W czasie gdy kwartalnik „Pamiętnik Słowiański” po lustracji i dekomunizacji programowej zmienił się w muzeum naukowych bibelotów oraz pomnik bezradności etosowych elit, których ideologiczna czystość jest bardziej wyrazista niż intelektualna ruchliwość, znaczenie chełmskiego kwartalnika jest ogromne. „Powiedziane równie mocno, co kwiecień. Rzecz w tym, że „Pamiętnik Słowiański” był rocznikiem a nie kwartalnikiem, a ostatni jego tom ukazał się przed wszelkimi lustracjami i dekomunizacjami, w r. 1989. Coś się tu A. W.-owi poplątało. (hm)

W „Twórczości” (nr 2, s. 35) jedną z fotografii podpisano: „Jarosław Iwaszkiewicz przyjmuje doktorat honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego w r. 1971.” „Tymczasem — na fotografii widać, że Iwaszkiewicz przyjmuje nie doktorat, lecz gratulacje po otrzymaniu dyplomu doktorskiego (doktoratu nie odbiera się na siedząco!), a sądząc z postaci wokół niego — rzecz dzieje się podczas przyznania mu doktoratu honorowego przez Uniwersytet Jagielloński w r. 1979. (hm)

W tymże numerze „Twórczości” — bogaty wybór dedykacji dla Iwaszkiewicza na książkach pozostałych w jego bibliotece. Zastanawia wśród nich brak książek o samym Iwaszkiewiczu, których za jego życia ukazało się kilka (Kwiatkowski, Przybylski, Jędrzychowska, Werwes). Jest mało prawdopodobne, by autorzy nie przysyłali egzemplarzy z dedykacjami swemu „bohaterowi”. Może stały na osobnej półce? (hm)

Podpisywał się różnie: dr Tadeusz Zelański, Boy, Boy-Zelański, Tadeusz Zelański (Boy) — nigdy: Tadeusz Boy-Zelański. Tymczasem coraz częściej spotykamy się z tą ostatnią formą; na tablicy wmurowanej w Krakowie przy ulicy Karmelickiej, gdzie mieszkał, w emitowanym ostatnio filmie telewizyjnym, we wznowieniach jego książek. Niby drobiazg — ale dlaczego narusza się wyraźne decyzje samego pisarza? (hm)

W związku z nekrologami Zofii Niwińskiej i Zofii Węclawówny w „Tygodniku Powszechnym” (nr 6): Niwińska grała Kandydę nie w *Wariatce z Chaillot*, lecz w *Kandydzie* Shawa; Węclawówna miała nie dwadzieścia, lecz czterdzieści lat, gdy grała Jasia w *Niebieskim ptaku* (a nie: *Błękitnym ptaku* — jak napisano) Maeterlincka, a postać z *Wesela Figara*, którą odtwarzała, to Cherubin a nie Cherubinek. (hm)

Orwell na Uniwersytecie

Marta Wyka

Miejsca w społeczności uniwersyteckiej są oczywiście hierarchiczne, z demokratycznej pozorne magmy wyłaniają się feudalne wzniesienia w osobach profesorów. Jest to naturalne i zrozumiałe, nie ma równości tam, gdzie są młodszy i starsi, niscy stopniem i do góry się wspinający po szczeblach kariery. Droga nie zalicza się, między nami mówiąc, do tras nazbyt ciekawych. Tonie w papierach. Usłana jest opiniami tych, co już wierzchołek osiągnęli, o tobie nieśmiały adeptcie i aspirancie. Widoki ze szczytu okazują się często nader marnie, chmury przesłaniają dalekie horyzonty, a naprawdę dobrze widać tych, którzy nie kłopotząc się zdobywaniem, leżą sobie wygodnie na niższych regłach, papieroska palą, z buteleczki pociągają i w ogóle cieszą się życiem. No więc, nie jest znowu tak przyjemnie pozostawać w profesorskim stanie. Ale skoro słowo raz się rzekło i jesteśmy u plotu, sądzimy, iż nareszcie oczekuje nas komfort psychiczny i nasze męki, ambicje, ukrywane zawiści oraz inne przywary możemy odeśłać do lamusa wspomnień.

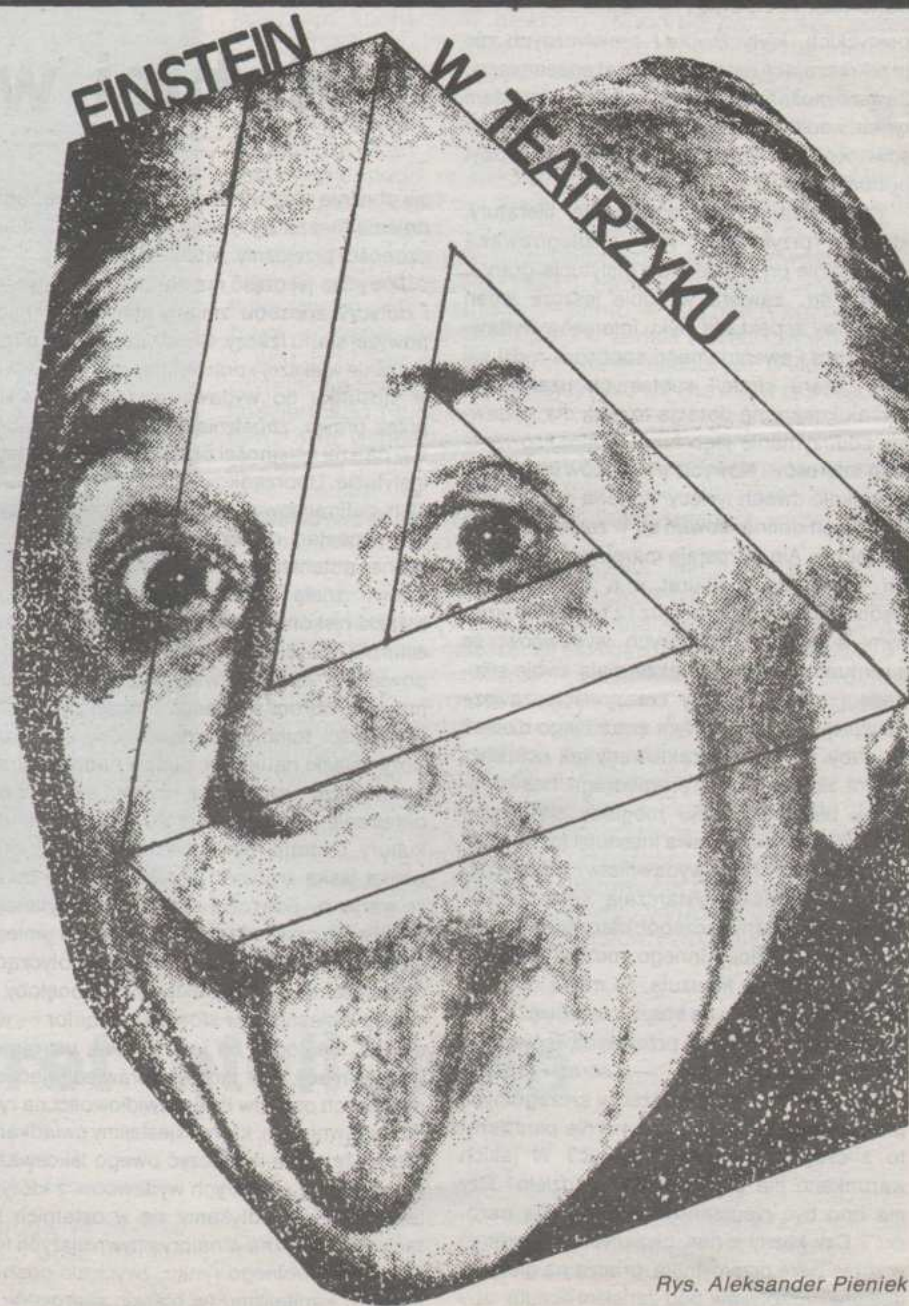
Ach, gdzie tam, drogi czytelniku, nawet tyle nie zostało dane nam, posiadaczom tytułów, z których miał wynikać prestiż, że tak powiem, wewnątrzbiurowy. Oto bowiem na naszym uniwersytecie powstał Klub Profesorów. Wiadomo, życie III Rzeczypospolitej toczy się między pub'em a club'em, co oczywiście usprawiedliwia nasza tradycja wiktoriańska, nasz wybitnie anglosaski temperament i nasza skłonność do odprężania się w towarzystwie równych sobie zasług. Ale, co wymyślił Anglik Orwell, są równi i równiejsi. Czyli, inaczej mówiąc, nie wszyscy profesorowie dostąpili zaszczytu powołania do Klubu Elitarnej Profesury. Nabór nie był oczywiście prowadzony przez uczelniane władze, lecz przez Najbardziej Elitarnego Profesora. Zaczęły się domysły; robak zawiści niepostrzeżenie wkradł się w dusze tych, co wieloletni wysiłek wspinania się na szczyt przytłaczili jakże mizernym upadkiem do jego pod-

nóża. Nie ma się z kim odprężyć; nie wiadomo już, jakie są naprawdę kwalifikacje; ponure podejrzenia drażnią dusze odrzuconych i niewybranych. Wyższość i niższość wchodzą w dwuznaczne ze sobą związki, towarzyskość pieni się jak szampan, zaś stojący w antyszambach gorączkowo podają sobie z ust do ust niepewne informacje o tym, co się dzieje na salonach. Słowem, Waszyngton za zamkniętymi drzwiami.

Idea klubu jest wysoce arystokratyczna. Oczywiście, znała ją II Rzeczpospolita, choć bardziej gustowała chyba w masonerii. Po wojnie znaleźliśmy Klub Poszukiwaczy Sprzeczności oraz różne organizacje paraklubowe. Najbardziej marzyliśmy natomiast o klubowych fotelach ze skóry. Teraz, na uniwersytecie, marzenie i rzeczywistość sprzęgły się w harmonijną całość: podejrzewam bowiem, iż zarówno fotele jak klub utworzyły jedno prężne ciało, górujące wydatnie nad innymi uczelnianymi ciałami. Angielskie kluby mogły (i mogą) przyjmować gości z zewnątrz. Zapraszać ich na lunch lub drinka. Zatem pośród moich nieśmiałych marzeń znalazło się i to: może któryś z powołanych zaproponuje mi wspólne spożycie? Może Stróżewski postawi mi piwo? Może ktoś inny oprowadzi mnie po uniwersytecie?

Wiem, przemawiają moim piórem uczucia niskie i podłe. Czy naprawdę nie umiem się przystosować? Pogodził się już ze wszystkim. Z akcentem sfer rządzących i wyglądem dziennikarzy telewizyjnych; z błędami rzeczowymi w prasie codziennej oraz z tym, że stanowimy czteroprocentowy klub aspirantów do konsumowania dóbr kultury (tak orzekły badania czytelnictwa tzw. prasy kulturalno-literackiej). Ale dlaczego nawet w obrębie tych marnych 4% mamy być lepsi i gorsi? Ja protestuję, ja chcę egalitaryzmu, co wymownie świadczy o tym, że epoka mnie omija. W popłochu zakładałam więc Klub Zwolenników Profesora Pnina. Kto był Pnin — patrz powieść Nabokowa pod tymże tytułem.

TEATRZYK RYSUNKOWY



Rys. Aleksander Pieniek

„DEKADA LITERACKA”

W warszawskich księgarniach:

- księgarnia naukowa im. Bolesława Prusa
- księgarnia „REPRINT”
- w Domu Literatury — przy Krakowskim Przedmieściu
- księgarnia „Czytelnika” przy ulicy Wiejskiej
- księgarnia „Literacka” przy Rynku Starego Miasta

HYDE PARK Czytelników

Tym razem pragniemy zaprezentować wiersz jednej z uczestniczek antologii „Ślady”, przygotowanej przez Jacka Golonkę, a wydanej staraniem Wydziału Kultury UM w Będzinie. Tomik zawiera interesujące wiersze będzińskiej grupy literackiej „FUTURE”, której działalność anonsovaliśmy już kiedyś w „DL”, a wśród nich taki oto utwór MONIKI POSTAWY:

Odearda miała pięć lat
kiedy została żoną
króla kruków
— łożo było jak miasto —
kładła się spać
z uchem koło piaskowego kościółka
gasła świece
wtedy przychodził jej mąż
— szum zrzucanych skrzydeł
między siebie a małą żoną
kładł nurt dziki miecza
jakby ciemności było mało
nie, nie widziała go przez dziesięć lat

tej nocy rzeka jej włosów zniosła miecz
zapalili świece
zobaczyli jak miecz wyciał
las rosnący u ich stóp
plakała
on
objął jasne ramiona
piersi tak drobne jak lzy
nie bój się nic
on objął świt
pierwsze ptaki otworzyły oczy
pierwsze wozy turkotały po bruku
pierwsze żebraczki obciągnęły sen na
nagie kolana
ostatnie gasły gwiazdy jej stóp
uniesionych

WITOLD TURDZA ODKRYWA NIEZNANE ARCYDZIEŁA

Wydawałoby się, że nowoczesna technika ma niewielkie zastosowanie w naukach humanistycznych. A jednak. W Bibliotece Jagiellońskiej znajduje się kilka roczników „Kurfiera Wileńskiego”. Były w bardzo nieodbornym stanie, poddano je więc zabiegom konserwatorskim. Niestety rocznik 1858 tak był czymś zlepiony, że bardziej przypominał kamienną tablicę niż gazetę. I właśnie to porównanie nasunęło konserwatorom myśl, czy nie można by zastosować do rozlepiania kart ultradźwięków, wykorzystywanych w... medycynie do rozbijania kamieni nerkowych. Aparatura taka jest niestety bardzo kosztowna a trzeba by ją jeszcze zaadaptować do pracy w bibliotece. Na szczęście znalazł się sponsor. Bogaty przemysłowiec japoński. Kiedyś miał fantazję studiować w Krakowie (bodaj historię stosunków polsko-japońskich) i przez sentyment do biblioteki, w której spędził wiele dni, obdarował ją nowoczesną aparaturą.

Egzamin zdała świetnie. Z niewielkimi tylko uszkodzeniami, gazeta stała się znów gazetą. I wtedy dopiero ujawniła swe tajemnice. Otóż w jednym z numerów zamieszczono fragment gawędy Władysława Syrokomli pt. *Żytni gaj*. Badacze literatury nie znali jej dotychczas. Jest więc wysoce prawdopodobne, że poeta, zniechęcony krytyką swych utworów, porzucił na tym tylko fragmencie gawędy. Pewnie dlatego także wiersz nie wszedł do żadnego ze zbiorów i uległ zapomnieniu. Dzięki nowoczesnej technice odkryliśmy go na nowo.

Władysław Syrokomla

Żytni gaj

Gawęda
nadniemeńska

W dni moje młode, w dni moje radosne,
I jam z nadzieją witał każdą wiosnę,
Kipiało łono, bodła chętką szczerą,
Snałż znaczo, K'czemu dusza się wydziera.
Wiem zieleń łąki, jak ją pstrzeją ziółka,
I jak tàmeczna krząta się gromada,
Znam, gdzie przelotnych żurawi klucz siada,
Kędy przylata niestrudna jaskółka,
Wiem trzepotanie wpadłej w więcierz ryby,
Jak się w doświłkach rozplywają noce,
W jakim chruśniaku snadno znajdziesz grzyby,
I w oczeretach ptactwo jak strzekoce.
Widzę jak słonko pomyka zza lasu
I póki świata, tak pomykać będzie,

Budzi promiermi lud z nocnego wczasu, —
Już pacierz ranny słycać w wiosce wszędzie.
Nie darmo pieśnia we dworze i w strzesie
Tak się rozlega — przecię mówią dzieje;
Kto boże słowo po rozorach niesie,
Łacniej i plenniej temu urunuje.
Wietrzyk wiosenny rzeźwi rosne niwy, —
A rolnik pełen wesołego ducha,
Gdy mu się sporzy, pracuje szczęśliwy
I ziarno sieje a skowronka słucha.
Nie wrócić lat tych! Tak w strumyku woda
W górę nie płynie, boskim prawom gwoli,
Ale pieśń rzewna poprzez wieki poda
Moje radości i to co mi boli.
Jaż śladem dawno minionych dni idę,
Lub w ojców gnieździe, lub na miejskim bruku,
Zardzawiały mi oczyma swą biędę
Śpiewam boleśno, póki serca stuku,
Głęb duszy badam, wzdycham po kryjomu,
Skaran krytyków zjadliwymi głosy, —
Że im nie w guście z mych zagonów kłosy,
Razem i sobie i im życzę gromu.